Nr. 258. Lwów — Piątek dnia 11 Listopada. Rok 1892.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu 1 złr.

Prenumeratę we Lwowie przyjmują: Biuro Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9. Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Cena prenumeraty na prowincyi:
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna złr.
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ 12.

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

Cena anonsów:
Wiersz petitowy w inseratach 6 ct.
„ „ w nadesłanem 20 ct.
Prenumerata datuje od 1-go lub od 15-go.
Rękopisów Redakcya nie zwraca.

Dziś: św. Marcina B. | Zenowia
Jutro: św. Marcina P. | Stachya

Adres Redakcyi i Administracyi: ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 9
Zachód „ „ 4 „ 20

Długość dnia g. 9 m. 11
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 10 listopada.

Świetnie dla gabinetu Giolitti'ego wypadły włoskie wybory; prawie wszyscy kandydaci wyrażali się z wielkiem uznaniem o jego programie, nieliczni występowali z łagodną krytyką, a tylko mała garstka nieprzejednanych radykałów była niezadowolnioną i potępiała wszystko, jak zwykle. W rezultacie rząd posiada dwie trzecie, a może nawet trzy czwarte głosów w izbie poselskiej, a ponieważ niedawno na wniosek Giolitti'ego król zamianował wielu nowych senatorów, przeto w obu izbach zastęp rządowy będzie miał ogromną przewagę. Stąd radość w całej liberalnej prasie, nietylko włoskiej, ale także niemieckiej i austryackiej, stąd okrzyki pełne uniesienia, że trójprzymierzu nie grozi wewnętrzny rozkład. Sprawę liberalną złączono tu zręcznie ze sprawą trójprzymierzową, aby wszyscy przyjaciele tej ostatniej cieszyli się razem z Giolitti'm, sympatyzowali z jego rządami, życzyli mu długiego trwania u steru i powodzenia we wszystkich zamiarach. Nie jest to bez praktycznego znaczenia dla niego, że zagraniczna prasa tak mu dobrze życzy i winszuje Włochom takiego gabinetu, bo każdy naród jest dalekim, i tem wyżej ceni swych ludzi, czem większem uznaniem cieszą się oni wśród obcych. Ale najniesłuszniej połączono tu sprawę trójprzymierzową z wyborczem powodzeniem Giolitti'ego. Przedewszystkiem kwestya należenia Włoch do ligi pokojowej wcale nie istniała; w opinii publicznej półwyspu appenińskiego jest ona dawno i na długo zdecydowana, jak również inna kwestya, będąca z tą w blizkim związku, — kwestya utrzymania siły zbrojnej na jej teraźniejszej wysokości. Najlepszym na to dowodem jest to, że do gabinetu Giolitti'ego wszedł bez żadnej skądkolwick opozycyi minister wojny z poprzedniego gabinetu, ten sam jenerał Pelloux, którego zacięty opór przeciw najmniejszej redukcyi armii był powodem ustąpienia ministra finansów Colomba z gabinetu Rudini'ego. Również bez opozycyi, owszem z powszechnem zadowolnieniem przyjęto we Włoszech powołanie na ministra spraw zagranicznych admirała Brina, jednego z najsilniej akcentowanych zwolenników trójprzymierza. Oni też dwaj podczas wyborów wystąpili z wielkiemi mowami. w których dosadnie zaznaczyli konieczność trwania w trójprzymierzu i utrzymywania wojska w liczbie niezmniejszonej, a żaden głos w całym kraju nie odezwał się z protestem. Bo to nie są kwestye sporne dla nikogo, oprócz nielicznej garstki irredentystów.

Umysły włoskie są wyłącznie zajęte trudnym dylematem: jak nie naruszając ani kierunku politycznego, ani stanu armii, usunąć finansowe kłopoty? Każdy Włoch wie, że to dałoby się bardzo łatwo uczynić przez zniesienie niepotrzebnych instytucyi różnego rodzaju, mających jedynie pamiątkową wartość z tych czasów, gdy kraj był jeszcze podzielony na wiele państewek, miał wiele stolic monarszych, a w tych stolicach było wszystko, jak w centrach wielkich państw, więc i pałace monarsze z tłumem dworskich urzędników i trybunały najwyższe i wszelkie inne dygnitaryaty. Ale patryotyzm partykularny broni tych pamiątek, może przez pietyzm, lecz niezawodnie także dlatego, że te instytucye podtrzymują byt owych zamierających byłych stolic. Od czasów Cavoura żaden gabinet nie poważył się zaatakować tych instytucyi. Crispi rabował fundusze propagandy wiary, obdzierał klasztory, skonfiskował nawet majątek stowarzyszeń dobroczynnych, ale nie tknął tych instytucyi. Rudini także przyrzekł je zachować, lecz gdy jedno tylko zrobił odstępstwo, zniósł jedną szkołę w Aoście, wnet w całym kraju obudziła się trwoga, która obywatelom wymierających stolic szeptała: *hodie mihi, cras tibi!* — i oto bez opozycyi w parlamencie gabinet Rudiniego chwiać się zaczął, naprożno szukał równowagi, powstał w nim niesmak, rozsiadła się niechęć i wreszcie rozkleił się i ustąpił. Zjednoczone królestwo zabiło małe stolice, a teraz one włóczą się za niem tłumem bladych upiorów i oplatają jego mięśnie, jak wąż laokoonowy. Dlatego to pomimo całej równie dzikiej, jak niepojętej nienawiści do Watykanu, masoństwo włoskie dostaje śmiertelnych dreszczów, ilekroć odezwie się myśl o wyjeździe za granicę najbogatszego dworu papieskiego, który dla Rzymu jest wiecznie pełnem źródłem dostatków. Więc o zniesieniu tych wszystkich pamiątkowych instytucyi mowy być nie może, jak o redukcyi armii, albo o zmianie politycznego kierunku, a pomimo tego trzeba przywrócić równowagę budżetową bez tworzenia nowych podatków. Dokazać tej sztuki przyrzekł Giolitti, więc przed nim wszyscy pochylili głowy. Opozycya zajęła względem niego przyjaźną postawę, albo zamilkła, a on bardzo zręcznie aż do ostatka nie odkrył swej tajemnicy. W memoryale, dołączonym do patentu rozwiązującego stary parlament napomknął o monopolu naftowym i więcej nie rzekł ani słowa, prócz paru frazesów ogólnikowych o oszczędnościach. I w tej rezerwie wytrwał sam, wytrwali jego koledzy, mający teki spraw, obchodzących wyłącznie Włochów. On i oni w swych wyborczych mowach nie określili dokładnie swego zapatrywania na liczne specyalne sprawy i zagadnienia. Więc właściwie program rządowy pozostał tajemnicą. Dano gabinetowi olbrzymią większość na wiarę. Ta większość mówi: „Nie wiemy kto jesteś, ale przyrzekasz uzdrowić finanse pod znanymi warunkami, więc możesz nas uważać za przyjaciół, za ludzi, którzy wszystko dla ciebie uczynią, byleś dotrzymał słowa!"

Rzecz naturalna, że taka większość, uzyskana nie na podstawie jasnego programu, lecz na nadziei nieokreślonej, może się łatwo zmienić w nieprzejednaną, bo rozczarowaną opozycyę, gdy ta nadzieja będzie zawiedziona. Przypomina nam Giolitti swą tajemniczością Luzzatti'ego, który także obiecywał góry, nie dał zaś ani ziarnka, rozpłakał się w końcu na parlamentarnej trybunie i podał się do dymisyi. Że Giolitti należy do masoństwa i z tej racyi jest w łaskach u liberałów; że wyszedł ze szkoły Crispiego i dziś nawet uchodzi za jego a l t e r e g o — to naszem zdaniem nie wiele mu pomoże: nie o zasady społeczne i etyczne, nie o kierunek polityki wewnętrznej lub zagranicznej idzie, lecz o kieszeń, a w takiej sprawie najzacieklejsi bezwyznaniowcy i liberałowie są właśnie największymi egoistami. Dla tego mniemamy, że rezultat wyborów bynajmniej nie zapowiada gabinetowi długiego żywota, który będzie zależał od zupełnie czego innego, mianowicie od trafnego finansowego programu. Oto wszystko, co bezstronnie można powiedzieć o rezultacie włoskich wyborów.

Nowa anarchiczna zbrodnia, dynamitowy zamach, wykonany w Paryżu, przeraził do najwyższego stopnia to kilkomilionowe miasto. Nikczemny wypadek stał się o pół do 12-ej w olbrzymim gmachu, gdzie na dole mieścił się posterunek policyjny, a na wszystkich piętrach było mnóstwo kantorów, warsztatów i prywatnych mieszkań. Teraz to wszystko przedstawia jednę górę gruzów, leżących dokoła głębokiej jamy, która powstała w ziemi od działania gazów. Gdzie niegdzie wśród tego rumoszu znaleziono zbite w jedną masę niekształtną ciała niewinnych ofiar mordu. Tylko po galonikach na ubraniu poszarpanem na strzępy poznano te ofiary. Jest ich sześć.

Nieopodal tego miejsca wznoszą się gmachy Banku Francyi, ministeryum finansów i wielkich składów kupieckich Louvru. Urzędnicy tych instytucyi byli właśnie na śniadaniu w niedalekiej restauracyi, więc posłyszawszy straszliwy wybuch, pomyśleli, że to ich biura wysadzono w powietrze i w największej grozie rozbiegli się po mieście, roznosząc wszędzie straszną wiadomość. Na Paryż padła panika.

W parlamencie, który właśnie obradował nad sprawami tonkińskimi, wnet wniesiono interpelacyę. Pierwszy zaczął oportunista Reinach, żądając surowego śledztwa i kary bez litości. Socyaliści i radykaliści próbowali się odezwać, lecz się izba zwracała ku nim z taką nienawiścią, z takim mściwym ogniem w oczach, że milkli. Loubet z trybuny zaczął opisywać wypadek i ubolewać nad nim; wtedy konserwatysta hr. Bernis krzyknął: „To skutek czerwonej chorągwi, obnoszonej wszędzie z tryumfem, za łaskawem przyzwoleniem rządu!" Loubet zawołał: „Pan nie masz prawa tak mówić! Proszę udowodnić, że rząd jest pobłażliwy!" — „Bardzo łatwo! — odrzekł Bernis. — Zaledwo parę dni temu ułaskawiliście zbrodniarzy, osądzonych w Albi za anarchiczne czyny w Carmaux!"

Ledwo to rzekł, powstali socyaliści Lafargue, Gabriel, Ferroul i inni, wołając: „Aha! wyzyskujcie ten wypadek przeciw wolności! Kujcie teraz drakoniczne prawa!" A Clemenceau wołał: „W Rosyi rząd silny, a i tam bywają anarchiczne zamachy. Tu prawa nasze nic nie zawiniły". Loubet mówił dalej: „Niesprawiedliwie byłoby wytykać rządowi słabość. Robi on co może. Ale ustawy nasze są takie, że mordy, rabunki i dynamitowe zamachy mogą być publicznie wychwalane słowem i drukiem. Czas już obmyśleć na to lekarstwo, czas opracować ustawę odpowiednią. Proszę izby, aby wybrała komisyę, któraby się zajęła ułożeniem takiej ustawy i proszę zaraz głosowaniem oświadczyć rządowi, czy on jest uważany za winnego w tej sprawie!" Gwar powstał w izbie, krzyczeli wszyscy, socyaliści dowodzili, że wolność chcą zabić wstecznicy, a owi wstecznicy znowu wymawiali socyalistom, że uczą robotników pieśni: „Baronów nabić do armat, margrabiów do strzelb i t. d."

Po długich hałasach, nawet po małych utarczkach na pięście izba uchwaliła, że jest oburzoną wypadkiem i że gabinetowi wyraża zaufanie. O wyborze komisyi, któraby opracowała projekt ustawy przeciw anarchistom zapomniano.

Jest mniemanie, że podłożona bomba przeznaczona była przez anarchistów dla prezesa towarzystwa kopalnianego w Carmaux, barona Reille'a i jego kolegów w dyrekcyi, albowiem właśnie miało się odbyć posiedzenie członków tej dyrekcyi w tym domu, gdzie pod schodami znaleziono bombę.

Wybory do Rady miejskiej.

Wczoraj w sali ratuszowej odbyło się pierwsze zgromadzenie grona obywateli naszego miasta, którzy zastanawiali się nad przyszłym wyborem do Rady miejskiej, mającym odbyć się w drugiej połowie stycznia przyszłego roku. Ścisły komitet, który się tą sprawą zajął, ułożył listę 150 członków przedwyborczego komitetu miejskiego i zaprosił tych panów na posiedzenie.

Na liście tej nie znajdujemy nazwisk dwóch panów radnych, którzy podczas zeszłych zgromadzeń przedwyborczych wielką odgrywali rolę, a mianowicie nie ma na tej liście ani p. Michalskiego, ani p. Walichewicza.

Zgromadzenie zapowiedziane było wczoraj na godzinę 7mą wieczór, lecz dopiero koło godziny pół do ósmej przybyło do sali siedmdziesięciu kilku członków komitetu i wówczas p. r. Janowski, jako przewodniczący dotychczasowej przygotowawczej akcyi tego komitetu, zagaił obrady. Oświadczywszy, że dr. Małachowski usprawiedliwił swą nieobecność na dzisiejszem zebraniu, i że dr. Piętak usunął się z komitetu, wezwał p. Janowski zebranych, aby przystąpili do wyboru komitetu. Na wniosek p. Bardasza wybrano przewodniczącym komitetu p. prof. Zacharyewicza a zastępcami jego pp. Markiewicza i dr. Małachowskiego.

Prof. Zacharyewicz zająwszy miejsce przewodniczącego, podziękował za wybór, a następnie zaznaczył, iż celem dzisiejszego zebrania jest rozpoczęcie kroków przygotowawczych do przyszłych wyborów miejskich. Nazwiska, umieszczone na liście 150 członków przedwyborczego komitetu obywatelskiego, dają rękojmię. iż sprawa przyszłych wyborów będzie prowadzoną rozsądnie i mądrze, i że wszystkie stronnictwa zespolą się, aby wybór przyszłych ojców miasta wypadł jak najlepiej. Na sekretarzy powołał przewodniczący pp. Marynowskiego i Ihnatowicza. Nieobecnego na zebraniu p. Marynowskiego zastąpił p. Edmund Riedl.

Następnie udzielił przewodniczący głosu p. r. Janowskiemu, który przedstawił dzieje utworzenia się obradującego dziś komitetu. „Gdy ostatnie wybory Rada unieważniła — rzekł on — zebrało się kilku radnych, by się rozpatrzyć w sytuacyi. Zostawali oni wówczas pod wrażeniem wstrętnych scen, które trwały przez cały peryod przedwyborczy, a nawet nie ustawały po wyborach. Owóż temu gronu radnych, rozpatrującemu dokładnie przebieg minionych wyborów, zdawało się, że akcyę przedwyborczą skierować należy na inne tory, gdyż dotychczasowy sposób przeprowadzania jej doprowadził do jej zupełnego zdyskredytowania. Lekarstwo na to chciało grono to znaleźć w zdrowej części społeczeństwa naszego, w zdrowem i patryotycznem mieszczaństwie i inteligencyi naszego miasta, i chciało akcyę przedwyborczą poprowadzić tak, aby w niej szli wszyscy w imię zgody, aby na pierwszym jej planie było dobro i interes miasta i godność stolicy, aby w imię dobra powszechnego na bok usunięto wszelkie osobiste ansy i nieprzyjazne stronnictwa.

Przy wyborze do Rady miejskiej stronnictw nie potrzeba. Stronnictwa muszą mieć swe hasła, w imię których się grupują, tu tych haseł nie ma i nie potrzeba, jeśli się zważy, że głównem zadaniem Rady miejskiej są sprawy ekonomiczne. Do Rady miejskiej, a więc do załatwienia spraw tych trzeba wybrać takich ludzi, którzy się na nich rozumieją, mają dobrą wolę i chęć czas swój i pracę dobru miasta poświęcić. Z pewnością wszystkie stronnictwa zgodzą się na to, że do przyszłej Rady wybrać należy ludzi takich, którzy potrafią rozważnie przeprowadzić sprawy ekonomiczne, czekające przyszłą Radę. A będzie ona miała do czynienia z nader ważnemi sprawami. Czeka ją wystawa krajowa, to jedno z najważniejszych naszych przedsięwzięć. Tu trzeba w zgodzie zespolić wszystkie siły, wszystkie pragnienia nasze i najlepsze chęci, aby tę piękną myśl, która w obec całego świata ma pokazać nasz rozwój na każdem polu, pomyślny uwieńczył skutek. Ważnemi są także: kanalizacya miasta, zaopatrzenie go w dobrą i zdrową wodę, zbudowanie wodociągów, stworzenie lepszej komunikacyi, naprawa bruków, wprowadzenie elektrycznego oświetlenia i tramwaju, oraz wiele innych spraw ekonomicznych pierwszorzędnej wagi, które przyszła Rada będzie musiała załatwić, lub załatwienie ich przygotować. Owóż mając to wszystko na uwadze, ta garstka radnych, która rozmyślała nad przyszłą akcyą przedwyborczą, przybierała do swego grona co raz więcej ludzi i tak wreszcie wzrosła, że dziś ułożywszy listę przedwyborczego komitetu obszerniejszego obywatelskiego, zaprosiła zebranych tu panów, aby w ich ręce oddać los przyszłej akcyi wyborczej, a jest pewną, że zebrani, oparci na poczuciu obowiązku i praw obywatelskich, porzucą osobiste waśni i niesnaski stronnictw i skupieni pod jednem hasłem: dobro miasta i godność stolicy, przeprowadzą wybory na chwałę i pożytek naszego grodu.

Dawniej było zwyczajem, że zwykle taki przedwyborczy komitet obszerniejszy wyłaniał się ze zgromadzenia przedwyborczego. Ale kto zna historyę tych zgromadzeń, kto wie, że wybór takiego komitetu jest istną komedyą, bo kto pierwej opanował salę i rozrzucił kartki, ten był panem sytuacyi, kto wie, że wszystkie takie komitety były wynikiem przypadku i nie wychodziły z woli wyborców, gdyż zwykle nader mała liczba ich w sali się znajdowała, resztę stanowili nie wyborcy, ten się nie zdziwi, że inicyatorowie dzisiejszego zgromadzenia odmienną poszli drogą. Oni odrazu stworzyli komitet obszerniejszy, który pod hasłem dobro miasta i godność stolicy, wzywają wszystkich obywateli, aby szli z nim ręka w rękę. Na to hasło zaś zgodzić się mogą i powinny wszystkie stronnictwa bez wyjątku.

Dotąd zwykle taki komitet obszerniejszy, wybrany rzekomo przez wyborców na zgromadzeniu przedwyborczem, obradował w ciasnem kole i przy drzwiach zamkniętych. My jednak nie chcemy z poza węgła rzucić wyborcom listy stu radnych miasta, działać chcemy jawnie, ale jawności tej znów nie chcemy puścić na luźne i mętne wody zgromadzeń przedwyborczych, ale działamy jawnie w ten sposób, żeśmy zaprosili reprezentantów dziennikarstwa. Oni w pismach swych podawać będą sprawozdania z przebiegu naszych obrad, będą zaznajamiali z niemi szerokie koła publiczności, wypowiadać będą swe zdania o naszych celach, naradach i dążeniach i nasze usiłowania poprą lub potępią. To jest bezsprzecznie najlepszy sposób oddania sprawy całej pod sąd ogółu, gdyż dziennikarstwo nasze postara się, aby opinia publiczna zdrowo i dobrze o wszystkiem była informowaną i by potem mogła za pomocą dziennikarstwa wypowiedzieć także swe zdanie. Złączmy więc wszystkie nasze siły, aby przyszłe wybory wypadły jak najpomyślniej dla dobra miasta, a może tym naszym krokiem rozpoczniemy nową erę lepszych i zdrowszych stosunków przedwyborczych. Gdy nas ta nadzieja zawiedzie, to przynajmniej odniesiemy to przekonanie, że chcieliśmy uczynić jak najlepiej. Mam jednak nadzieję, że się nam powiedzie". (Oklaski).

Po p. Janowskim zabrał głos dr. Ciesielski. Zaznaczył on, iż nie należał do owego grona, który tę listę 150 członków komitetu układał, godzi się jednak z poprzednim mówcą, iż wszystkie komitety wyborcze na zgromadzeniach przedwyborczych były narzucane, lecz i ten komitet, który dziś się zebrał jest także narzucony. Ma on jednak, tak jak inne komitety, prawo do działania i tylko daj Boże, by sprawę wyborów dobrze przeprowadził.

Mówca słyszał wiele pięknych słów z ust p. Janowskiego i wiele skarg na złe postępowanie dawnych komitetów przedwyborczych, a jednak już ten komitet, który się dziś zebrał, chce popełnić błąd, gdyż rozdał między zebranych listę komitetu ściślejszego, który się ma zająć ułożeniem listy przyszłych stu radnych. Więc znów co się działo dziać się będzie pomimo pięknych haseł, które nawiasowo powiedziawszy były zawsze hasłami wszystkich komitetów, bo zawsze one w ich imię działać poczynały i tylko niegodziwa akcya wyborców spychała je na manowce. Mówca przeto wnosi, aby komitetu ściślejszego wcale nie wybierano, lecz żeby cały komitet obszerny listę przyszłych radnych układał. „Zbierajmy się i obradujmy razem — kończył dr. Ciesielski — i niech świat cały widzi, żeśmy wszyscy razem przyszłą listę układali".

Wnioskowi temu sprzeciwił się p. r. Markiewicz i zaproponował, aby zgromadzeni przystąpili na dzisiejszem posiedzeniu do wyboru komitetu ściślejszego.

Prof. dr. G r y z i e c k i, zgadza się tylko w części z wnioskiem dr. Ciesielskiego. Jest za tem, aby komitetu ściślejszego dziś zaraz doryweżo nie wybierano, ale sądzi, że później komitet tak wybrany być musi, gdyż komitet złożony z 150 ludzi, jest za wielkiem i ciężkiem ciałem, aby mogło energicznie i szybko działać. Wnosi przeto, aby zgromadzenie wybrało komisyę złożoną z 7 ludzi, uczciwych, prawych i znających dobrze stosunki miasta i poleciło jej ułożyć listę komitetu ściślejszego, oraz przedłożyć ją na jednem z najbliższych posiedzeń komitetu obszerniejszego. Wniosek ten poparli pp. dr. Sawczak, Długoszewski, dr. Dzięddzie-

---

40)

WIARUSY

POWIEŚĆ

WACŁAWA MASŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Tam to widać było, w hamaku, z książką w ręku, jakąś postać w jasnej sukni.

— Poznaje pan tę miłą osóbkę? — odezwała się pani Julia, wpatrując się z figlarnym uśmiechem w ożywioną twarz i roziskrzone oczy pana Władysława. — Ręczę, że pan mnie powie tonem obojętnym, markując lekkie zdziwienie: „Przepraszam, łaskawa pani, ale doprawdy nie wiem..." Cha! cha! cha!... No, dobrze już, dobrze! Nie będę pana męczyła, ale proszę powiedzieć mi po dojrzałym i głębokim jak studnia namyśle: idzie pan... po przyjemność poznania się z moim mężem?

— Spieszę!!

— Bez wahania? To ślicznie!

Lekko mu dygnęła, mówiąc:

— To bardzo ładnie z pańskiej strony, że się raczysz śpieszyć! Innyby na pańskiem miejscu poleciał na skrzydłach, a pan tylko... śpieszysz! Jaka uprzejmość! O, mój panie, jesteś za nadto powolny!

— A pani, stojąc na miejscu, za nadto długo naraża swą cerę na palące promienie!

— Tak? Więc idźmyż grenadyerskim krokiem, jeśli tego potrzeba dla dobra mojej cery! Cha, cha, cha!... Ach! ci panowie stworzenia!

Poszła w istocie bardzo prędko, wciąż uśmiechając się i nucąc czasami wesoło, ale niedługo to trwało. Znów przystanęła i wskazując parasolką w tę stronę, co pierwej, rzekła:

— Widzi pan tam, na tarasie, lunetę na trójnogu, obróconą ku górom? I widzi pan tę literatkę w hamaku? O niej i o lunecie mogłabym coś powiedzieć, ale nie powiem... nie powiem, bo ktoś mógłby się stać bardzo zarozumiałym... Chodźmy!

Po chwili znów stanęła.

— Ja z tą literatką codzień muzyką się zabawiamy, — mówiła chwytając oddech. — Ale taka tam była muzyka! Więcej studyowania gór przez lunetę. Czasami godzinę całą, ach! co mówię: godzinę! Dłużej! pewna ciekawa osóbka nie odrywała oczu od lunety, wpatrując się w każdego jeźdzca, który się pokazał na górskiej drożynie... Jak pan myśli: kto to był?

— Któż? — spytał pan Władysław głosem drżącym z rozrzewnienia.

Od śmiechu poruszyły się wszystkie pieprzyki na twarzy pani Julii, nosek jej zabawnie się zmarszczył, iskrzyły się ślepki. Dwoma paluszkami chwyciwszy suknię, dygnęła i rzekła niewinnym głoskiem:

— Mój mąż, panie!

Potem zaśmiała się, wnet jednak zawołała:

— Ach, mój Boże! Jaka ja nieoględna! Znów zapomniałam o mojej biednej cerze!... Chodźmyż prędzej, prędzej!

Niebawem weszli do obszernej komnaty, której okna i drzwi oszklone otwarte były na taras. Pani Julia wnet zawołała:

— Anulko! Anulko, pokaż się! Nie zgadłabyś nigdy, kogo wzięłam w jassyr. Chodź i podziwiaj moję odwagę!

Pokazała się we drzwiach Anulka, oparła się o nie, zbladła odrazu i oczy zamknęła; niespodzianka była tak wielka, tak nagła, tak wstrząsająca, że biedactwu w głowie się zakręciło i zdawało się jej, że ot, jeszcze chwilkę, i straci wszelkie czucie.

Poskoczyła do niej pani Julia, jęła ją ściskać, całować i śmiała się przytem cicho, serdecznie, a potem szepnęła:

— Zabaw-że pana Ass-Bułata przez mały moment, ja się tylko przebiorę!

I wymknęła się z izby prędzej, nim Anulka mogła ją zatrzymać.

Po latach rozłąki zostali tedy pierwszy raz sam na sam ci dwoje, których przeszłość wspólna była uczuciem, pogodna, nurzała się w rozkosznym półśnie o szczęściu i w marzeniach o cichej a miłej Bogu i Ojczyźnie pracy; pierwszy raz sam na sam zostali oni, nieobcy sobie, niezmienieni na duchu, a jednak tak inni, jak gdyby zgoła nie ci sami. Nie spostrzegli tego onegdaj, ni wczoraj, aż dopiero teraz, gdy się znaleźli bez świadków i mieli sobie powiedzieć, co na sercu leżało.

Wszystko przebyte, od czego codzień na nowo serce się rozdzierało: nieszczęście ogólne i nieszczęście własne, ból nieukojony, zakrzepły, rozpacz i chwilami głuche zwątpienie, nakazujące uległość strasznemu losowi, — razem napłynęło teraz do serca Anulki, łkaniem poruszało jej pierś, gorzkim żalem do ust się cisnęło. Lecz zmogła się i — cóż mogła jeszcze, biedactwo, zrobić? — milczała.

A on odczuł wszystko, co ją poruszało. Przyszła na niego chwila takiego jasnowidzenia i takiej wrażliwości, że oczami duszy widział, sercem żywo czuł wszystkie boleści ukochanego stworzenia, a własne cierpienia odrazu w jego oczach zmalały tak, że wstyd mu było dawnego mniemania o ich wielkości. Więc poczuł, jak gdyby coś się w nim oberwało, ujrzał się małym, niemocnym, bezradnym, trwoga go zdjęła i ból i rozpacz i jednocześnie buchnął w nim płomień niezmiernej tkliwości. Nagłym ruchem wziął głowę w dłonie i z cicha, rzewnie wymówił:

— Anulko! Na Boga! Anulko!

Leciuchny rumieniec wystąpił na jej policzkach, pod spuszczonemi powiekami poruszyły się oczy, cała twarz zajaśniała błogością. Po chwili podniosła wilgotne oczy, wymowniejsze od słów i czas jakiś patrzyła jakby w zadumie.

— Anulko! — wykrzyknął pan Władysław. — Moja złota, moja dobra!... tyś zawsze była tak dobra, jak anioł i w myślach moich zmieniłaś się w mego anioła, który nigdy mię nie opuszczał, strzegł i pocieszał...

— Panie Władysławie — odezwała się ona, jak gdyby idąc za biegiem własnych myśli, — pan zmienił nazwisko?

— Musiałem! Uwięziono mnie, skazano do kirgizkich stepów. Umknąłem i znów byłem w wojsku. Niebawem dowiedziano się o tem i zaocznie skazano na stryczek. Rozkaz dano wszędzie: gdziekolwiekby kto mnie ujął, ma zaraz wyrok wykonać. A tu naraz strasznie się gorąco zrobiło i ciasno.. coraz ciaśniej, aż nakoniec tylko Warszawa została, a w niej, jak w pierścieniu, my. Po szturmie zaczęły się sądy. Komisya do szpitala przyszła, gdziem leżał, bo mi kula w boku ugrzęzła. Oprowadzał pułkownik Reutt. Ten, stanąwszy z komisyą przedemną, zaciął się, bo wiedział co mi grozi. Obok dogorywał kolega, więc Reutt, wskazując na mnie: „Władysław Stobój" mówi, a na niego: „Władysław Białorzecki". Jak się wtedy sędziowie rzucą do tego niby Białorzeckiego, obstąpili go, nachylili się... „Leczyć go, koniecznie leczyć, musi stanąć przed sądem!" — wołali, ale gdzie tam! W godzinę już był przed innym sądem... Tak zostałem Stobojem i razem z innymi wielu poszedłem do tychże kirgizkich stepów...

Mieniła się Anulka, słuchając tych słów, wymawianych z nerwowym pośpiechem, a gdy skończył, spytała cicho, jak gdyby z wielkim trudem dobywszy głosu:

— A potem co?

— Z razu na stepach budowaliśmy drogi, kopali rowy, sypali wały dokoła stanowiszcz kozackich, wysuniętych ku górom. Potem przyszło uwolnienie od robót, z tem, żebyśmy tu, na pograniczu czerkieskich ziem osiedli, albo i w samym Dagestanie. Ja sobie awarską puszczę wybrałem.

— Zawsze jako Stobój? — spytała Anulka jeszcze ciszej.

— Zawsze. Tak Reuttowi przyrzekłem, że się przed nikim nie odkryję. Jakoż, dotrzymałem słowa, poznali mię tylko dwaj, ale ci się nie liczą, to starzy przyjaciele. Bakłanowski jeden, a drugi Stach. Pamiętasz Stacha?... Dzika?

Lecz Anulka już go nie słuchała. Była blada, niespokojna, załamywała ręce, wreszcie zawołała ze łzami:

— Ach, panie Władysławie, to bardzo źle, to wielkie nieszczęście! Widzisz pan, kiedy tak, to już muszę wszystko powiedzieć, jak było... Wiedzieliśmy, że pan poszedł na te stepy, ale że uciekł, wrócił i... tego wszystkiego, coś mi pan teraz powiedział, nie wiedzieli nawet pańscy rodzice.

(Ciąg dalszy nastąpi).

lewicz (z poprawką, aby składała się z 10 członków) i dr. Wachniunin.

P. Długoszewski uczynił wniosek, aby komitet ściślejszy, wybrany w myśl wniosku dr. Gryzieckiego, zwoływał od czasu do czasu posiedzenie komitetu obszernego i przedkładał mu swą listę radnych i aby następnie komitet obszerny poddawał listę pod balotowanie.

P. Lachowski wniósł, aby dzielnice zapytać, kogo chcą mieć w komitecie.

P. Kędzierski zauważył, iż dyskusya weszła na inne tory niż się początkowo spodziewał. Mówi się tu tyle o wyborze komisyi i komitetu ściślejszego, a przecież pierwszem zadaniem zebranych powinno było być wypowiedzenie zdania, czy chcą się uważać za przedwyborczy komitet obywatelski i ująć w swe ręce akcyę przedwyborczą.

Czyni więc p. Kędzierski wniosek, aby zgromadzenie uznało się za przedwyborczy komitet obywatelski. Nadto wnosi mówca, aby zgromadzenie uchwaliło, że co 2 tygodnie ma być zwoływane zgromadzenie komitetu obszerniejszego i jemu ma komitet ściślejszy zdawać sprawę ze swych czynności i odpowiednie stawiać wnioski.

Na tem dyskusyę zakończono i przystąpiono do głosowania.

Wniosek p. Kędzierskiego, aby zgromadzenie uznało się za przedwyborczy komitet obywatelski, uchwalono jednogłośnie.

Natomiast odrzucono wniosek p. Markiewicza, a przyjęto wniosek dra Gryzieckiego; do owej komisyi z siedmiu, mającej złożyć listę komitetu ściślejszego, wybrano pp. Bardasza, Gryzieckiego, Janowskiego, Kędzierskiego, N. Löwensteina, Małachowskiego i Markiewicza.

Inne wnioski przyjdą pod głosowanie dopiero wtedy, gdy się już komitet ściślejszy utworzy. Postanowiono także, aby komisya, zwołując przyszłe posiedzenie komitetu obszernego, dołączyła do zaproszeń proponowaną przez siebie listę członków komitetu ściślejszego, by każdy z członków komitetu obszernego mógł się nad nią zastanowić.

W końcu na wniosek p. Kędzierskiego postanowiono złożyć po 3 zł. od osoby na opędzenie kosztów komitetu; skarbnikiem obrano p. Edmunda Riedla.

Na tem obrady zakończono.

Z Izby sądowej.

[Złodziejska szajka].

Policya lwowska, na którą mieliśmy nieraz słuszne przyczyny narzekać, w ostatnich czasach dała dowody niezwykłej sprężystości, której owocem są dwie rozprawy sądowe: niedawno ukończony proces handlarzy dziewcząt i dobiegająca obecnie zakończenia rozprawa przeciw szajce złodziei.

Proces ten, w którym przesłuchano 70ciu świadków, mógłby dać obfity materyał dla psychologa. Przewódzcy szajki: Valadier, a przedewszystkiem 25letni Fröhlich, cynizmem i bezczelnością swoich zeznań wprawiają wprost w podziwienie. Zwłaszcza Fröhlich wygląda na indywiduum w guście Lombrosa, dokonywujące kradzieży pod wpływem obłędu. Pamięta przytem do najdrobniejszych szczegółów liczbę dokonanych kradzieży, opisy i wartość skradzionych przedmiotów. Już towarzysze w rzemiośle nazywali Fröhlicha „Polko waryat", przeczuwając instynktownie, że „geniuszu" jego pokrewną jest z obłędem. Zeznania jego chełpliwe, z niczem się nie tające, pozwalają nam skreślić sylwetkę tego „interesującego" złodzieja.

Leopold Fröhlich otrzymał pierwsze wykształcenie złodziejskie od Edwarda Valadiera, ongi ślusarza, który go nauczył otwierać zamki zwykłe i wertheimowskie. Z tą umiejętnością doszedł wkrótce Fröhlich do szczytów swej sztuki. Cicho, zręcznie, bez pomocników spełniał swe kradzieże. Kiedy go w ciągu rozprawy przewodniczący zapytał, kto mu pomagał, Fröhlich, który zresztą nie skrywał wcale przewinień swych towarzyszy, spojrzał na nich pogardliwie i odpowiedział z dumą: „Fröhlich pomocników nie potrzebuje. Fröhlich tylko spojrzy na jaką kamienicę, zobaczy światło w oknie i to mu wystarcza. Jak tylko światło zgaśnie, tak ja zaraz do pokoju i w jednej chwili jestem gotów."

Poza tem nie zaniedbywał Fröhlich także teoretycznej strony swego wykształcenia. Nie jedną noc poświęcił czytaniu rozmaitych dzieł.

Prokurator. Zapewne były to *Räubergeschichten?*

Fröhlich. Bynajmniej! Były to sensacyjne romanse. Ulubioną zaś moją lekturę stanowiły poezye! (*śmiech*). Fröhlich nie lubiał zarzucać sieci na drobne rybki, starał się aby każda wyprawa na pewno obfite przyniosła mu plony. Tu znakomitą pomocą, prawą ręką, była mu jego „przyjaciółka" Leopoldyna Pizzer, należąca do wesołych kobiet, która zawiązywała znajomości z rozmaitymi młodzieńcami i „przyjaciela" swego informowała, którego z nich wartoby okraść.

Po skradzeniu rzeczy następowała druga część „pracy": należyte ich spieniężenie. Tu objawiał Fröhlich niezaprzeczony talent do badań historycznych. Litografowane policyjne wykazy skradzionych i zgubionych rzeczy, miały w nim pilnego czytelnika, z nich to bowiem dowiadywał się o cenie swoich zdobyczy. Także meldunkowe biuro policyjne było dla niego formalnie biurem wywiadowczem.

Jednak mimo tak dokładnych informacyi zawodził się czasem Fröhlich co do spodziewanej zdobyczy.

„U pana radzcy X. naprzykład — skarżył się podczas rozprawy — skradłem trzy pary spodni, ale co to były za spodnie, dziwię się że p radzca mógł w nich chodzić. Nikt nawet nie chciał za psie pieniądze kupić ich odemnie".

Kradzieże liczne dawały mu dobry zysk. Fröhlich przyznaje się sam, że zebrał sporą sumkę, którą dobrze ukrył, a po wyjściu z więzienia wystarczy mu ona na przyzwoite życie przez pewien czas.

Ciekawa rozmowa wywiązała się podczas przesłuchania agenta policyjnego Günsberga między nim a oskarżonym, świadcząca o wygórowanej ambicyi złodziejskiej Fröhlicha.

Günsberg chwalił się, że oskarżonego zna od małego dziecka, że kilka razy go aresztował, zresztą tak dobrze jest poinformowanym co do każdego ze złodziei lwowskich, iż wie nawet co jedzą. Fröhlicha opowiadanie to widocznie niecierpliwiło, wreszcie przerwał Günsbergowi i zapytał.

Jeżeli pan wiesz co jadam, to ośmielam się zapytać, dla czego gdy ja przez trzy miesiące kradłem we Lwowie, pan o tem nie wiedziałeś? (Wesołość).

Günsberg. ...Już ja ciebie znam.

Fröhlich. Ale ja panu daję najświętsze słowo honoru, żeś pan mnie pierwszy i ostatni raz aresztował...

Drugi przewódzca szajki, Valadier mniej wygląda na okaz psychopatologiczny niż Fröhlich, za to odznacza się równą tamtemu bezczelnością. Kiedy go prokurator napierał usilnie, aby przyznał się do jakiejś kradzieży, odpowiedział:

— Jeżeli pan prokurator chce koniecznie, ażebym się przyznał także i do tej kradzieży, to mu zrobię tę przyjemność i satysfakcyę. Bo o cóż się rozchodzi? Wiem bardzo dobrze, że muszę siedzieć w kryminale, a jedna kradzież mniej czy więcej, to zdaje się wszystko jedno.

Wyrok zapadnie dziś wieczór.

Z TEATRU.

(*„Nasze anioły", farsa w 3 aktach M. Wołowskiego*).

To dziwna! Na przedstawieniu tej farsy publiczność wybuchała od czasu do czasu wesołością wielką, po pierwszym i drugim akcie wywołano autora, prasa nasza poświęciła sztuce dłuższe lub krótsze wzmianki, w których, jakkolwiek nie bez pewnych zastrzeżeń przeważał ton sympatyczny i pochwalny — a jednak...

Przypatrzmy się o co autorowi chodzi? Opowiedzieć to zwięźle, to sztuka nie łatwa. Państwo Ciepiszewscy w Warszawie mają dwie córki zamężne. Tym dwom młodym paniom zdaje się, że są nieszczęśliwe, że mężowie ich zdradzają i t. d. Ażeby żony z mężami pogodzić sprowadza pani Ciepiszewska trzecią swą córkę, najmłodszą, z Krakowa, gdzie przebywała w pensyonacie. Ta trzecia, mająca być aniołem pojednania dla poważnionych stadeł, okazuje się szatankiem przebiegłości. Wynajduje ona niejakiego pana Amońskiego, młodego człowieka, który Bogu ducha winien, bo „kocha tylko swoję matkę, marzy tylko o awansie, a całą ambicyą jego jest kaligrafia": otóż tego pana Amońskiego używa panna Jadwiga (ta trzecia) jako narzędzie swego dyplomatycznego geniuszu. Każe mu pisać list, który, czego Bogu ducha winny Amoński ani przypuszcza — ma w ręku panny Jadzi dokazać cudów polityki pokojowej: ma poprostu w mężach „nieszczęśliwych aniołów" wzbudzić podejrzenia, uczucie zazdrości (która jest miarą miłości) i t. d., a to wszystko dla tego, ponieważ Jadzia nosi się z myślą pokazania tego bezimiennego listu, zaczynającego się od słów: „Ubóstwiony aniele!" obu mężom i rzucenia na siostry swe bardzo, a bardzo niepięknego podejrzenia... No — ale ona to czyni tylko z miłości dla sióstr, więc można jej brak innego pomysłu wybaczyć, choć swoją drogą mogła by się zdobyć na jakiś nowszy, bo takie „listy" poszły już dawno na listę poprzerabianych i powykręcanych na wszystkie strony teatralnych sprężynek...

To jest główna intryga, która wiedzie w końcu do pożądanego celu, a *en passant* daje autorowi sposobność do napisania bardzo dobrej sceny w drugim akcie, kiedy to, dzięki intryganckim zdolnościom „anioła" Jadzi, oba nieszczęśliwe „anioły" biorą ów list jako adresowany do siebie i wyprawiają sobie nawzajem sceny zazdrości o... Bogu ducha winnego Amońskiego. Ta scena, z całą lojalnością zaznaczamy, jest wyborna i mogłaby utrzymać sztukę, gdyby autor poprzestał był na tym pomyśle z jednym listem: — pomysł nie nowy wprawdzie, ale pióro utalentowanego pisarza mogłoby zabarwić rzecz, z pomysłu wysnutą jakąś zajmującą charakterystyką współczesnych typów, humorem dzisiejszym i t. p. Niestety, prócz tej jednej sceny zazdrości dwóch mężatek, nic autor więcej w tym kierunku nie zrobił. Czuł to widocznie on sam najlepiej i dla tego — jak się zdaje — z tej trochę za prostej rzeczy o jednym liście postanowił zrobić coś bardziej zajmującego. Posłuchajmy:

Jak ten baran, którego rżną a on nie wie za co, tak i tutaj znowu ten nieszczęśliwy pan Amoński jest ofiarą intrygi pana Hilarego Ciepiszewskiego, męża zacnej pani Balbiny, ojca dwóch córek zamężnych i tej trzeciej na wydaniu. Ten ojciec, to okaz rzeczywiście ciekawy; pan wesoły, bo wesoły! W trzecim akcie wprawdzie, pod wpływem nagłej refleksyi ubolewa mocno nad tem, że w dzisiejszych czasach nie podobna prawie wydać córki za mąż bez posagu — a on posagu dla swej Jadzi nie ma — ale przez dwa akta prawie hula stary pan Hilary tak, że z nieocenionym farsistą Labichem możnaby zawołać: „I panu się pańskie siwe włosy nie rumienią?" Otóż ten pan Hilary, który jest podobno dyrektorem w jakimś banku, każe Amońskiemu, proszącemu o protekcyę do awansu w tym samym banku, pisać „próbę pisma". Swoją drogą dziwna to rzecz, ażeby Amoński, który już kilka lat służy jako podrzędny buchalter w tym banku, i jest przytem sekretarzem „Towarzystwa pań dla kolonii letnich" musiał zdawać osobny egzamin z kaligrafii, ale jeszcze dziwniejsza, że Amoński w naiwności swej daje sobie podyktować, niby to „na próbę pióra dobrego i atramentu czarnego" taki list: „Ubóstwiany aniele! Jeżeli chcesz mi dać dowód twego gorącego uczucia... to napisz mi gdzie mam cię oczekiwać i t. p." Dziwnych rzeczy nie koniec na tem. Pan Ciepiszewski, mąż, ojciec i t. d. bierze ten list w zamiarze posłania go do jakiejś Fipci, bufetowej w jakiejś restauracyi, spodziewa się bowiem podbić tę Fipcię pięknym, wyrazistym „charakterem" p. Amońskiego. Za chwilę po wyjściu p. Hilarego wchodzi Jadzia i urządza „barana" na swój sposób, mianowicie każe mu pisać list zaczynający się od słów: „Ubóstwiany aniele!" A pan Amoński jest tak... naiwny... że oprócz egzaminu z kaligrafii, składa także (świetnie) egzamin z mnemotechniki, bo nie czekając co Jadzia dalej dyktować mu będzie, pali dosłownie to samo, co mu Hilary przed chwilą napisać polecił.

Czytelnik domyśla się zapewne już reszty, to jest, że owe dwa listy stają się powodem ciągłych nieporozumień, chwilami rzeczywiście aż nadto chaotycznych, bo jednym z nich manipuluje Jadzia w obec sióstr, a drugi snuje się przez akcyę tylko w nieuchwytnej legendowej formie (wszyscy wiedzą, że istnieje jeszcze drugi list pisany ręką Amońskiego, ale nie wiedzą do kogo, i to ich najbardziej irytuje) — aż w końcu sztuki wypływa w swej nietranscedentalnej postaci z kieszeni pana Hilarego, który, na szczęście został, mówiąc po lwowsku „przeszkodzony" i do Fipci z listem pójść nie mógł. Owoż pan Hilary tłumaczy osobom zgromadzonym na scenie, jak przy końcu każdej sztuki, że ten list pisał Amoński do Jadzi i poczciwy Amoński daje się zarznąć po raz trzeci idąc pod nóż panny Jadwigi. Ładna to dziewczyna, ale polityk wielki i wątpić należy, czy oprócz Amońskiego znalazłby się drugi równie naiwny, którybу się z takim „aniołem" ożenił.

A prawda: dla czego sztuka nazywa się „Nasze anioły"? Zapewne dla tego, że mężowie w tej sztuce, idąc za dobrym z góry przykładem swego teścia, nazywają żony swe ciągle z ironią „swymi aniołami", chociaż doprawdy ironia ta w ustach takich mężów, bibkujących z panem teściem u „Fipci" wygląda nie na ironię, ale na najczystsze kpiny „paczki" niepoprawnych hultajów.

Farsa pana Wołowskiego jest więc wogóle biorąc, rzeczą wesołą; — pomimo nawet niejednolitości tonu, bo są sceny, w których „kpiarze" (termin warszawski) zapatrują się na sytuacyę bardzo poważnie, i widz nie może się połapać, o co tym ludziom właściwie idzie: otóż mimo niejednolitości tonu, widz bawi się nie pytając może zresztą o sens i morał. Może i lepiej, że się nie pyta, bo gdybyśmy tak zaczęli na prawdę roztrząsać i autorowi i sobie sumienie, tobyśmy zaszli tam, gdziebyśmy może nie chcieli. My chcemy wierzyć, że p. Wołowski, który w tej sztuce okazał w kilku scenach niepospolity talent naśladowania farsistów francuskich, potworzył sobie figury takie, jakie mu były potrzebne do wywołania efektu, bo gdyby takie żony i tacy mężowie, jakie on w „Naszych aniołach" pokazuje, byli „typami" ze społeczeństwa warszawskiego, natenczas farsa p. Wołowskiego miałaby rzeczywiście pewne literackie znaczenie: oto byłaby próbą satyry na bezgraniczną lekkomyślność, na próżnię w głowach i w sercach, t. zw. inteligentnej klasy społeczeństwa Warszawy, tej Warszawy, o której ciągle w prozie i poezyi czytamy, że na nią, *bolejącą* zwraca Polska cała załzawione oczy...

I ta myśl, która się każdemu inteligentnemu człowiekowi mimowoli i koniecznie nasunąć musi, psuje to wesołe wrażenie, jakie sceny humorystyczne utworu p. Wołowskiego wywołują... Ale chcemy wierzyć, że p. Wołowskiemu nie szło o pisanie satyry; — ot poprostu szło mu o napisanie, na wzór fars francuskich, rzeczy wesołej, dla zabawy, szerokich mas w teatrze ogródkowym warszawskim, i o zebranie jak największej tantyemy z przedstawień, bo, niestety *au fond de toutes les questions est la question du pain...* Że ta zabawa będzie po największej części bezmyślną, to autora podobno nie obchodziło, kiedy pisał swą rzecz, a co o tej rzeczy pomyślą ludzie myślący, o tem znowu, zdaje się, p. Wołowski nie myślał. Władysław Bogusławski, jeden z najwytrawniejszych krytyków warszawskich napisał w *Gazecie Polskiej* (Nr. 249, z 8 listopada b. r.) więc przedwczoraj, z powodu przedstawienia lichej drugiej sztuki konkursowej w Warszawie, słowa następujące:

„Jeżeli teraz zechcemy dobadać się pożytku z tego zalecenia przez komisyę „Szarego życia", dojdziemy do przekonania, że najlepiej na tem wyszli autorowie „Protekcyi dam" i „Naszych aniołów", dotychczas bowiem każdy myślał, że w tych sztukach repertuar nasz z ostatnich czasów doszedł do ostatniej granicy banalności: „Szare życie" zaświadczyło, że można posunąć się na tej drodze jeszcze krok dalej".

Myśmy tak ostro p. Wołowskiego skrytykować nie chcieli, i z tem wyznaniem możemy spokojnie nad sztuką przejść — do porządku dziennego.

A z porządku dziennego następuje sprawozdanie o grze naszych artystów. Sprawozdanie to musi wypaść w tonie pochwalnym i to już bez wszelkich zastrzeżeń. Grały z niezwykłą werwą i humorem panie Czaplińska (Jadzia), Stachowicz i Żelazowska, w epizodycznych rolach, Sznażanka, Germanowa, Otrembowa — grali również wesoło, Fiszer (Hilary), Żelazowski, Trapszo (Amoński) i Hierowski. O rozbiorze ich „arcywesołej" gry mowy oczywiście być nie może; na poziomie takich rzeczy nawet najmniej utalentowani aktorowie śmiało stąpać mogą i zejść ze sceny z hucznym aplauzem „wesołej" galeryi.

Roman Toliński.

KRONIKA.

Lwów 10 listopada.

Nabożeństwo żałobne za spokój dusz ś. p. Braci i Sióstr Bractwa N. P. Maryi Królowej Korony Polskiej, odprawi się w katedrze orm. jutro, w piątek 11 bm. o godz. 9 rano. Celebrować będzie ks. arcyb. Issakowicz.

Z wystawy obrazów. Zapowiedziany olbrzymi obraz artysty Alojzego Deluga: „Pogrzeb Alaryka", nadszedł już do Lwowa i jutro zostanie wystawiony w sali Tow. sztuk pięknych.

Slub. Dnia 12 listopada w Rzędowicach odbędzie się ślub p. Franciszka Kamieńskiego, zarządzcy dóbr br. Romana Potockiego, z panną Zofią Hatschierówną, córką właśc. dóbr Rzędowice w Królestwie Polskiem.

Kółko farmaceutów na Uniwersytecie lwowskim, odbyło onegdaj walne zgromadzenie, na którem wybrany został prezesem p. Zawałkiewicz. — Również dokonano na niem wyboru nowego wydziału.

Sprostowanie. W numerze 254 *Przeglądu*, w artykuliku kronikarskim pod tytułem: „Zmiana własności", zaszła pomyłka, gdyż nie Franciszek Żurowski, tylko Franciszek Sęk Turowski nabył od Izraela Lieba, izraelity, dobra Szandrowiec, dawną siedzibę Kieszkowskich.

Patryoci szczególnego gatunku. Na zgromadzeniu robotników lwowskich, odbytem w ostatnią niedzielę w sali ratuszowej, uchwalono na wniosek drukarza Ant. Mańkowskiego domagać się od rządu otworzenia granicy rumuńskiej i rosyjskiej dla bydła i zboża.

Zatem tym panom przyjemność sprawiłoby to, gdyby wszyscy nasi rolnicy przeciążeni podatkami i w skutek tego nie mogący wytrzymać konkurencyi Rumunów i Rosyan, poszli z torbami po otwarciu owej granicy.

A przecież nie słyszeliśmy dotąd wcale o tem, żeby rolnicy udawali się do rządu z prośbą, aby zrobił coś takiego, coby robotników lwowskich doprowadziło do ruiny. Dla czegóż więc w tych robotnikach taka nienawiść do ziemian?

Morderstwo. Donoszą nam z Brodów, że w nocy z dnia 7 na 8 bm. włościanin Semko Sołtys, rodem ze Szlachciniec, zamordował dziewczynę Katarzynę Wierzbicką, która nie chciała przyjąć jego wyznań miłosnych. Wieczorem następnego dnia stacyonowany w Brodach żandarm Hornik, schwytał mordercę i wraz z wszelkiemi dowodami zbrodni oddał w ręce sprawiedliwości.

Z Samborskiego nam piszą: Okolica nasza była świadkiem niezwykłej uroczystości. Dnia 7 listopada odbyło się w Głęboce brylantowe wesele (tj. 60 letnia rocznica ślubu) p. Jana na Skrzynnie hr. Dunina Suligostowskiego i małżonki jego Emilii z Radzicjowskich hr. Duninowej, właścicieli Głęboki i Sąsiadowic.

Sędziwa para udała się rano do kościoła przepełnionego przyjaciółmi, sąsiadami i włościaństwem. Ojca prowadził do ołtarza syn hr. Stanisław Dunin, matkę zaś młodszy syn hr. August Dunin. Miejscowy proboszcz ksiądz Serwacki, dokonał podniosłego aktu błogosławieństwa i odczytał list biskupa przemyskiego ks. Soleckiego, który przysłał swoje apostolskie błogosławieństwo.

Rozrzewniającym był akt wręczenia lasek jubilatom.

Po nabożeństwie udano się do znanego z gościnności domu pp. Duninów, gdzie przyjmowali życzenia. Po sutej uczcie i toastach na cześć sędziwej pary, muzyka zagrała ochoczego mazura, a dostojni małżonkowie ku ogólnej radości stanęli w pierwszej parze. — Akt ten niezwykły został wpisanym w kronikę parafialną i podpisanym przez wszystkich obecnych. — Dodać tu wypada, że dom hrabstwa Duninów był ogniskiem życia sąsiedzkiego i znanym był tak w Polsce, jak i zagranicą z zacności i gościnności, a otaczanym zawsze ogólną czcią.

[Ar.] **Z Tarnopola** donoszą nam 8 listopada: Po pięciotygodniowym pobycie w stolicy Podola opuścił nas dziś teatr im. Aleksandra hr. Fredry, ażeby wrócić do Stanisławowa. Gdyby nie zobowiązania, które zmusiły p. Kwiecińskiego wyjechać ztąd wśród najlepszego powodzenia, przedłużyłby swój pobyt u nas, gdyż odniósł on tu sukces nietylko moralny, ale co niemniej ważne i materyalny.

Grono wielbicieli talentu p. Kwiecińskiego wręczyło mu w niedzielę wieniec laurowy, za który do łez wzruszony dyrektor dziękując, przyrzekł — czyniąc zadość licznym wymaganiom — wkrótce do nas znowu zawitać.

Z całego serca cieszyć się będziemy, skoro wszędzie znajdzie tyle uznania p. Kwieciński, co w naszem mieście.

Rada powiatowa postanowiła zasilić kasę teatru stałą roczną subwencyą. Jest to najlepszym dowodem zasług i żywotności tego teatru. Spodziewać się należy, że i Sejm nasz subwencyą do rozwoju tego wzorowego teatru się przyczyni.

Świetny wynalazek. W Wiedniu wypróbowano onegdaj oryginalny wynalazek. Jest to powóz automatyczny, *Motorwagen*, skonstruowany przez tamtejszą firmę Benza i Spółka. Powóz automatyczny jest faetonem o siedzeniach na dwie osoby, z których jedna za pomocą korby z wielką łatwością wprawia powóz w ruch, przyspiesza go, lub zwalnia, skręca albo nawraca, podług woli. Pod siedzeniem umieszczony jest moto naftowy, który zapala się elektrycznie, a więc zupełnie bezpiecznie. Napełniony rezerwoar wystarcza na jazdę do 100 km. Szybkość jazdy wynosi do $3^1/_2$ mili na godzinę, na 1 km. wychodzi nafty za 2 ct. Powóz ma trzy koła.

Powóz taki łączy przyjemność niezależnej jazdy z szybkością kolei, a nie potrzeba koni, ani woźnicy. W miastach usunięcie z ulic koni byłoby zbawiennem pod względem zdrowotnym i bezpieczeństwa.

Powóż taki kosztuje jeszcze teraz do 2,000 złr., ale niewątpliwie spadnie ta cena z czasem do połowy. Zanim będziemy mieć stacye balonowe, powozy te na dwie lub trzy osoby, zapowiadają się jako idealny sposób podróżowania. Tymczasem dozwolono je w okolicy Wiednia; gdy się ludność z ich widokiem oswoi, wkroczą i na ulice miasta.

Do Związku handlowego „Kółek" rolniczych w Krakowie przystąpili w dalszym ciągu następujący członkowie: Z udziałem 100 złr. Wny Michał Sołtan, właściciel dóbr, Kraków. Z udziałem 50 złr. Wny Dr. Tadeusz Józefczyk, Tarnów. Z udziałem 25 złr. Wne panie: Józefa Cybulska właścicielka sklepu, Kraków, Marya Jordanowa, właścicielka sklepu Paczątkowice, Bronisława Popielowa, wdowa, Kraków, Emilia Skwirczyńska, Kraków, Aleksandra Życieńska, właść. domu, Kraków: Katarzyna Tomczyk właścicielka sklepu Kraków; Panowie: Ernest Adam, współpracownik *N. Reformy*; Józef Bielawski, właściciel Kuchni polskiej, Kraków, Michał Doboszyński, emer. sędzia pow. Kraków, Antoni Günter, właściciel dóbr Krzęcin, Józef Hopeas, współpracownik *Czasu*, Mikołaj Jagła, właśc. sklepu, Pierzchów, Ks. Edward Slaski, proboszcz, Krzęcin; Gustaw Steingraber, profesor szkoły przem. Kraków, Felicyan Szybulski, dzierżawca dóbr, Morawica, Zygmunt Torakowski, właściciel sklepu, Gdów, następnie Wydział rady pow. Chrzanów, Kółko rolnicze w Dobromilu, Ruskiej wsi koło Rzeszowa, Strzyżowie i Wadowicach górnych.

Bismark mordercą. Pani Adam, znana publicystka, podaje w *Figarze* sensacyjną wiadomość, że słynny jenerał rosyjski Skobielew został zamordowany z polecenia Bismarka.

Pewnego wieczora — opowiada pani Adam — rzekł Skobielew do dziennikarza Aksakowa: „Od jakiegoś czasu prześladuje mnie myśl, że wkrótce zostanę zamordowany. Przynoszę ci tu ważne dokumenty, które tylko w twojem ręku mogą być bezpieczne. Jutro o dziewiątej rano przyniosę ci jeszcze ważniejsze papiery."

Skobielew był znany z przysłowiowej punktualności. To też gdy nazajutrz rano daremnie czekał Aksakow na Skobielewa do pół do dziesiątej, mocno zaniepokojony, że jenerał musiał zachorować, udał się do jego mieszkania. Tu już zastał Skobielewa leżącego na katafalku. Nabrzmiałe ręce i zczerniałe paznokcie wskazywały wyraźnie, że Skobielew był czemś skrępowany. — W młodości swojej cierpiał Skobielew często na napady szaleństwa i dlatego kazał sobie wówczas wiązać ręce, gdyż obawiał się, ażeby w przystępie furyi nie zabił kogo.

To była tajemnica Skobielewa, ale znały ją skądś dwie panie, Niemki z Heidelberga, które naznaczyły mu schadzkę w hotelu. Tu potrafiły one namówić go, aby pozwolił sobie związać ręce. Kiedy to nastąpiło, wpadli do jego pokoju nieznajomi ludzie i skrępowali jenerałowi nogi około kostek i wtedy zaczęli go bić, tak iż nieszczęśliwy pod razami ducha wyzionął.

9)

BEZ ŚWIADKÓW.

(Ciąg dalszy).

— Tak, zakochałem się i gotów jestem nazwać ją Maryanną, jeśli to będzie w stanie wyrazić całą moc mego uczucia. Tak, nietylko jestem zakochany w wymienionej Mary-Annie, lecz kocham ją serdecznie, głęboko, na wieki. Kocham ją choćby dlatego, że jest czarującą, rozumną, dobrą, będąc równocześnie największą despotką na ziemi. Kocham ją wreszcie dlatego, że dla mnie ona tylko jedna istnieje jako kobieta, i tylko szaleniec mógł wziąć na swe barki tak ciężkie zadanie, jak wypełnienie owej umowy.

— Tak. Ale w tymże czasie w sercu twojem mieszkała inna bogdanka. Gdzież ona teraz przebywa i jakie są jej losy?

— Cofnęła się do krainy snów, co zwykle ma miejsce z wszelkiemi marzeniami sennemi, gdy zejdzie zwycięskie słońce poranku. To łudzące uczucie zabezpieczało tylko miejsce dla prawdziwej, gorącej, błogosławionej miłości!... Mary! ach, Mary!

— Proszę o spokój!... Siedźże przyzwoicie, Paul; jesteś nieznośnym człowiekiem. Przecież jestem narzeczoną innego! — dodała z wdzięczną powagą, która harmonizowała wyjątkowo z jej żywym buziakiem. — Jestem narzeczoną najdoskonalszego człowieka, ale...

— Mów, mów, Mary! — błagał Paweł, chciwie chwytając każde jej słówko.

— Otóż ten zacny człowiek nie byłby chyba szczęśliwym, gdybym została jego żoną; pragnę jednak w duszy być żoną innego.

— Mary!

Tym razem litościwie podała mu rękę przez stół.

— Dlatego, Paul — ciągnęła dalej w tymże rozsądnym tonie — dzisiaj sama się udam na stacyę na powitanie moich podróżników. Ciocia zajęta gospodarstwem, a wuj pewnie się nie zagniewa, jeżeli go pozostawię przy nowej młocarni. Przez drogę postaram się przygotować ojca i Smitsona.

— I ów Smitson przekona się, w jak czarujące stworzenie zmieniło się małe dziewczątko, i.. i... Ach, Mary, ja jemu nie dowierzam. Prędzej nazwię go najwspaniałomyślniejszym z pośród ludzi, niż uwierzę, że istnieje osobnik złożony z krwi i ciała, któryby mógł spokojnie wyrzec się pani; ja uważam to za zupełnie niemożliwe.

— Egoisto! Smitson nie może przecież żenić się ze inną wbrew mojej woli. Przytem mówiłam już panu, że przy najmniejszym znaku niezadowolnienia z jego strony przyznam mu się otwarcie...

— Jakto?

— Że kocham innego — wyjaśniła z uśmiechem. — Wtedy on mi zwróci słowo i...

— I co dalej? — nalegał Paweł, zerwawszy się radośnie z krzesła.

— Wówczas możemy ostatecznie zadecydować w naszej sprawie. Wieczorem przyjdę tu znowu do altanki i zdam panu ścisły rachunek z moich czynności. Teraz zaś — dodała Mary, wstając — muszę się jeszcze przebrać. Za godzinę zajedzie powóz, aby odwieść mnie na stacyę.

— Całą godzinę będziesz się pani przebierała? Czy dlatego, by się jemu podobać?

— Dlatego, by się przypodobać ojcu. Jaką suknię mam włożyć? poradź mi, Paul! — pytała z uśmiechem.

Paweł zamyślił się nie na żarty.

— Włóż pani tę żółto-zieloną suknię... wie pani, tę w duże kraty.

— Ach, suknię „papuzią", w której podobną jestem do ogrodowego straszydła! Jestem panu mocno obowiązaną za tak uprzejmą radę. Nie, panie Pawle, włożę nową różową sukienkę. Nie chcę zwrócić uwagi pana Smitsona moją niegustowną toaletą.

— O, naturalnie, jeśli specyalnie podobać się jemu masz pani na celu! — rzekł na to Paweł z wyrzutem. — Zresztą wszystko jedno... Czy ubranie tutaj co znaczy? I w żółto-zielonem i w kraśno-liliowem...

— No?

— Będziesz pani zawsze tą samą Mary, co w białem lub różowem — westchnął głęboko Paweł.

— No, dobrze. Myślałam, że się pan ośmielisz co innego powiedzieć — odezwała się Mary z groźną minkę. — Teraz puść mnie, Paul. Do widzenia!

Wyciągnęła do niego rączkę, którą Paweł mocno uścisnął, patrząc przytem w oczęta błagającem spojrzeniem. Nie powiedział ani słówka więcej. Mary jednakże przecząco potrząsnęła główką.

— Nie, jeszcze nie, dopóki jestem narzeczoną Smitsona.

Młody człowiek schylił głowę posłusznie i z szacunkiem złożył pocałunek na maleńkiej rączce.

— Przyrzecz mi jednak pani, że przy spotkaniu z tamtym również nie pozwolisz na...

— O, zazdrośnik! — zawołała rumieniąc się, i chyżo, jak ptaszyna wyfrunęła z altanki.

Oddaliwszy się na kilkanaście kroków, zatrzymała się nagle na tarasie w pełnem oświetleniu słonecznem, przesłała mu powietrzny pocałunek obiema rączkami i znowu skryła się w alei.

Pozostawszy samotnym, Paweł rozmyślał, za jaki występek skazują go losy wrogie na mękę wyczekiwania? Mierzył wzdłuż i wszerz ogród, jak również przyległy lasek, błądził po pokojach, nigdzie nie znajdując zadowolnienia — i gdy wreszcie, po pewnym czasie, spostrzegł z tarasu zbliżający się powóz, jak szalony zbiegł ze schodów, by przez bukową aleję dotrzeć do altanki, gdzie, siadłszy koło stołu z głową podpartą na dłoniach, pozostał nieruchomym jak posąg.

Ile czasu tak przesiedział, nigdy następnie nie był w stanie obrachować. Wydało mu się, że minęło w ten sposób wiele strasznych, długich, bez końca godzin, w czasie których najrozmaitsze przedmioty biegały przed jego wyobraźnią: to ideał blondwłosy, bezpowrotnie zapomniany i pogrzebany, to znów pan Merklein i biała letnia kamizelka, szlachetny pan Smitson i jego kopalnie srebra, pan Drenmor, a ponad wszystkiemi — Mary...

W końcu odgłos lekkich kroków dobiegł jego uszu. Podniósł się tak raptownie, że uderzył głową o belkę, wiążącą sufit altanki. We drzwiach ukazała się Mary. Gałązki drzew ujęły jej postać jakoby we wdzięczną ramkę, a chociaż miała na sobie nie różową, lecz żółto-zieloną, w brzydkie kraty sukienkę, Paweł przekonał się, że płonne były wszystkie środki ostrożności, gdyż Mary i w tym kostjumie zawsze była uroczą Mary.

(Dokończenie nastąpi).

Często — powiada dalej pani Adam — zastanawiałam się nad tajemnicą, otaczającą ostatnie chwile Skobielewa. Dopiero przed kilku dniami udało mi się rozwiązać tę zagadkę. — Książę Dołgoruki, były gubernator Moskwy, dał mi osobiście powyższe wyjaśnienie i zakończył je następującemi słowy:

„Znając fanatyczną cześć ludu dla Skobielewa, umyślnie kazałem rozpuścić pogłoskę, że jenerał umarł na udar serca, i zrobiłem wszystko możliwe, aby zataić morderstwo. Nawet owym damom, które na polecenie Bismarka przygotowały zbrodnię i kierowały osobiście jej spełnieniem, pomogłem do ucieczki. Uczyniłem to z obawy przed powtórzeniem się nieszporów sycylijskich, przed rzezią Niemców i przed niechybną wojną."

Internat dla seminarzystek. Dnia 7 b. m. o godzinie 10 z rana, w domu imienia hrabiny Felicyi Maryi z Golejewskich Czarkowskiej, przy ul. Słodowej 6, odbył się akt poświęcenia internatu dla kandydatek seminaryum nauczycielskiego we Lwowie. Ceremonii religijnej dopełnił w asystencyi licznego duchowieństwa ks. biskup Puzyna, który swoją ojcowską pieczołowitością otoczywszy tę nową a tak potrzebną i sympatyczną instytucyę, dopomógł skutecznie do zatlenia w niej ogniska życia, zwiastującego ciepło iście domowej opieki dla młodych uczenic nauczycielskiego zakładu.

Jakżeż pocieszającym był widok lokalności schludnej, wygodnej, przyjemnej, w zdrowem powietrzu, wśród ogrodów położonej, otwartej na przyjęcie młodzieży, tak niekorzystnie nieraz pod względem otoczenia i warunków hygienicznych umieszczanej.

Aktowi poświęcenia towarzyszyło grono dostojnych obywatelek i obywateli kraju, zaproszonych przez ks. biskupa do komitetu obywatelskiego opieki nad internatem, przedstawiciele Rady szkolnej krajowej w osobach: księdza kanonika Lewickiego i radzcy Bolesława Baranowskiego, jako też grono nauczycielskie seminaryum żeńskiego i uczenice tego zakładu.

Wśród gości zaproszonych obecnymi były: księżna Adamowa Sapieżyna, hr. Namiestnikowa Badeniowa, hr. Tadeuszowa Dzieduszycka, hr. Stanisławowa Badeniowa, pani Bobrzyńska, p. Wojciechowa Cybulska, księżna Władysławowa Sapieżyna, Ludwikowa Dziedzicka, hrabianka Marya Dzieduszycka, p. Bratkowska, Winnicka i wiele innych pań i panów, którym dobro tej instytucyi leży na sercu.

Dostojny pasterz po odprawieniu Mszy Św. zabrał głos i zaznaczywszy ważność internatów dla uczącej się młodzieży w ogóle, poświęcił słowo wdzięczności i podzięki dla tej znakomitej hojności swoją na rzecz instytucyi krajowych obywatelki hr. z Golejewskich Czarkowskiej, która chociaż zdala od ojczystej ziemi, jednakże tak żywy bierze udział w jego troskach i zaradza im skutecznie. Oto i ten dom, jako własność internatu dla kandydatek seminaryum żeńskiego, jest nowym tego dowodem.

Czcigodny mówca, wiedząc jednak, że ta młoda instytucya, oprócz domu, żadnych innych dotąd funduszów i zasobów nie posiada, polecił ją gorąco opiece społeczeństwa. Przedewszystkiem zaś oddał ją w opiekę dostojnych i szlachetnych pań, komitet składających, które hojnymi datkami na pierwsze potrzeby urządzenia przyczyniły się do przyspieszenia otwarcia internatu, odczuwając macierzyńskiem i obywatelskiem sercem potrzeby tych młodych istot, zdobywających sobie wśród trudów i walki naukę, a z nią zaszczytne dla siebie i pożyteczne dla kraju stanowisko.

Do tej to młodzieży, obecnej przy uroczystości, ksiądz biskup zwrócił także serdeczne i pamiętne dla niej słowa, przedstawiając jej ważność chrześcijańskiego wychowania i kładąc szczególny nacisk na ten talizman wychowawczy, jakim jest miłość. Miłość dla wiary i kościoła, miłość dla ukochanej Ojczyzny, miłość dla maluczkich, których kiedyś jako nauczycielki ludowe, mają prowadzić do światła i cnoty, szczególniej im zalecił.

Zarząd wewnętrzny internatu objęło parę Sióstr ze zgromadzenia „Rodziny Maryi", ustanowionego niegdyś w Królestwie polskiem przez księdza arcybiskupa Felińskiego. Zasadą ich reguły jest: „żadna uczciwa praca nie wstydzi". To też pod kierunkiem tych przewodniczek, jednoczących wykształcenie umysłowe z biegłością w pracach fizycznych, młode kandydatki dołączą do naukowych kwalifikacyi ćwiczenia praktyczne w robotach gospodarskich, domowych, bardzo potrzebnych dla nauczycielki ludowej.

Stosownie do środków materyalnych umieszczono na razie w internacie kandydatek ośm.

Na cele internatu dotąd następujące datki złożono: Najdawniejsze uczennice seminaryum naucz. żeńskiego w 20-letnią rocznicę swego wstąpienia do tego zakładu 100 złr., ksiądz arcybiskup Morawski 100 złr., ksiądz biskup Puzyna 50 złr., księżna Adamowa Sapieżyna 200 złr., hr. Włodz. Dzieduszycka 300 złr., hr. Stanisławowa Badeniowa 300 złr., N. N. 115 złr., księżna Jerzowa Czartoryska 100 złr., p. Izabela Krzeczunowiczowa 100 złr., Wydział krajowy 500 złr., hr. T. Czarkowska 500 złr., Związek koleżeński byłych uczenic seminaryum naucz. żeńskiego 80 złr., Tow. pomocy naukowej we Lwowie 50 złr.

Jubileusz Nowego Sącza. — Z Nowego Sącza donoszą nam dnia 9 bm.:

Za przykładem Sambora obchodziło miasto nasze onegdaj i wczoraj z wielką okazałością sześćsetną rocznicę swego założenia.

W przeddzień uroczystości przystrojono rynek i ulice w maszty owijane festonami do połowy i zakończone oświetlonemi herbami. Domy ozdobiły się w wieńce i przezrocza, nad któremi powiewały narodowe flagi. Nad wszystkiem górował magistrat, kościół, synagoga, kasyno i gmachy rządowe, a rywalizowały z niemi godnie domy prywatne. Wieczorem zajaśniało miasto milionem świateł i wtedy dopiero uwidoczniły się wszelkie ozdoby. W parku zapłonęły cztery olbrzymie płomienie gazowe, a muzyka przy mnóstwie pochodni przeciągała ulicami miasta, publiczność zaś zapełniała rynek i ulice do późnej nocy.

Nazajutrz (8 bm.) o godzinie 9 z rana zebrały się tłumy przed magistratem, zkąd podążono do kościoła farnego w następującym porządku: Naprzód szła muzyka, za nią strażacy, którzy przed wejściem do kościoła utworzyli szpaler; dalej szkoły żeńskie, normalne, gimnazyum, Sokoły, cechy, robotnicy kolejowi, dykasterye, goście ze wsi, magistrat i publiczność.

Po odprawieniu pontyfikalnej sumy, podczas której amatorowie nasi z towarzyszeniem orkiestry (złożonej z uczniów gimnazyalnych) wykonali chorał liturgiczny, podążono w tym samym porządku przed magistrat, gdzie burmistrz dr. Sławik przemówił w następujące słowa:

„Lat temu sześćset właśnie w dniu dzisiejszym, kiedy wśród jak najsmutniejszych okoliczności, rozdrobnienia i najgłębszego upadku Polski, obcy monarcha na miejscu dawnej starożytnej wsi założył nasze ukochane miasto Nowy Sącz. W szeregu wieków gród ten przechodził zmienne koleje. Za szczęśliwych czasów Łokietka, Kazimierza Wielkiego i Jagiellonów gród ten kwitnął i doszedł do świetności, jaką mało miast polskich poszczycić się może.— Ale nastały znowu czasy klęsk, pożarów, zarazy, czasy wojen kozackich i szwedzkich, czasy napadów i rabunków ze strony wojsk moskiewskich, które podkopały i zniszczyły całą dawną pomyślność i dobrobyt miasta.

„Wszystkie te wspomnienia odzywają się w duszy i najrzewniejsze budzą uczucia w tej uroczystej chwili, przypominającej nam, czem Nowy Sącz był dla Polski. W tej właśnie chwili wznoszę prośbę do Boga, aby raczył po wszystkie wieki błogosławić naszemu ukochanemu miastu, a kamień ten skromny niech zawsze przypomina żyjącym i potomnym, żeśmy umieli uczcić jego przeszłość, jego drogie pamiątki i odwieczny jego związek z narodem."

Potem spadła zasłona z pamiątkowej tablicy z następującym napisem: „Tablica pamiątkowa obchodu sześćsetnej rocznicy założenia król. wolnego miasta Nowego Sącza dnia 8 listopada 1292-1892." Równocześnie nadszedł telegram od Wydziału krajowego w tych słowach: „Reprezentacyi miejskiej starego grodu i całemu miastu przesyła Wydział krajowy życzenie powodzenia na drodze wytrwałej i uczciwej pracy olśnionej wiekową tradycyą."

Wieczorem dnia tego zebrała się publiczność na wieczorek w sali Sokoła, gdzie słowo wstępne wygłosił prof. Czerny. — Wykład był znakomity. Z werwą skreślił szanowny prelegent całą historyę Sącza, komentując ciepłem słowem ważniejsze ustępy odnoszące się do klęsk lub chwały narodu.

Chór pod batutą p. Kazim. Wydrychiewicza wykonał z precyzyą kilka utworów, a żywe obrazy, przedstawiające założenie miasta, Długosza uczącego królewiczów, powitanie królowej Jadwigi w Nowym Sączu i Wandę wypadły znakomicie. W antrakcie przygrywała muzyka Aubeów z Tarnowa, nagradzana oklaskami.

Czytelnia mieszczańska nie pozostała także w tyle. Tam miał odczyt cechmistrz p. Kelner, poczem muzyka strażacka dała koncert.

Tak obchodziliśmy uroczystą pamiątkę założenia miasta. *Wincenty Dąbrowski.*

Kto robi u nas opinię? Pod takim tytułem ogłosił wiedeński *Deutsches Volksblatt* imienny spis członków redakcyi wszystkich większych dzienników wiedeńskich i wykazał cyframi, że nie kto inny, tylko żydzi fabrykują w Austryi opinię publiczną, która często decyduje o losach krajów i ich obywateli. Oto spis dzienników wiedeńskich i zatrudnionych w nich żydów: *Deutsche Zeitung* żydów 6, *Wiener Extrablatt* żydów 17, *Fremdenblatt* żydów 14, *Neue fr. Presse* żydów 18, *Neues Wiener Tagblatt* żydów 20, *Oesterr. Volkszeitung* żydów 5, *Die Presse* żydów 17, *Wiener Allgemeine Zeitung* żydów 10, a nawet w urzędowej gazecie *Wiener Zeitung* jest jeden żyd.

Bankructwo teatru. Przed miesiącem zaledwie powstał w Berlinie teatr Ronachera, unikat w swoim rodzaju, gdyż w olbrzymim gmachu, zbudowanym przez to przedsiębiorstwo i błyszczącym od komfortu i zbytku, oprócz samego teatru mieści się także hotel, kawiarnia, restauracya, cukiernia, jednem słowem wszystko, czego tylko mogą zapragnąć wybredni sybaryci berlińscy.

Świetne nadzieje, pokładane w tem olbrzymiem przedsiębiorstwie, zawiodły jednak i teatr Ronachera jest bliskim bankructwa. — Straty poniesione są podobno kolosalne i nic nie zdoła przedsiębiorstwa tego uchronić od ruiny. — Inwentarz zakładu już zafantowany.

Zmarli. Ludwik Vidal, były redaktor *Kuryera Warszawskiego*, umarł w Warszawie. — Feliks Kostański, komendant ochotniczej straży pożarnej w Nowym Sączu, umarł tam, przeżywszy lat 48. — W Częstochowie umarł Kazimierz Witkowski, redaktor zawieszonego na ośm miesięcy *Kaliszanina*.

Stan powietrza. Termometr + 1 Reaum., Barometr 773. Idzie w górę. Dzisiaj pochmurno i dżdżysto.

Pod pantoflem. Warszawskie Towarzystwo subiektów handlowych urządza co sobotę wieczornice, na których najczęściej bawią się w sekretarza. Otóż na ostatniej wieczornicy gdy rozpoczęła się ta zabawa, zadano pytanie: „Dlaczego w naszem społeczeństwie mężowie są przeważnie pod pantoflem?" — i naznaczono trzy nagrody na najlepsze odpowiedzi. Ze złożonych 62 odpowiedzi, otrzymały nagrodę następujące trzy:

Pierwsza odpowiedź:

„Jeżeli prawdą ma być, że w naszem społeczeństwie jest mężów-pantofli najwięcej — to dlatego, że nie umieją być.... *kapeluszami*".

Druga odpowiedź:

„Żenią się wtedy, gdy już żyli wiele,
Gdy zapadnięte, jak dwa doły, lica,
Żenią się wtedy, gdy wśród rzadkich włosów
Z przodu i z tyłu łysina prześwieca.
Żenią się wtedy, gdy im trza rumianku,
Gdy ich po nocach silny kaszel dusi,
Wtedy się żeni każdy z naszych panów,
A wszak pan taki pantoflem być musi".

Trzecia odpowiedź:

„Mając szczęście pod pantoflem
Także dobrze siedzieć,
Nie żądajcie, moi państwo,
Przyczyn się dowiedzieć,
Które mnie aż tam wpędziły
Jeszcze w lat zaraniu,
Silną bowiem miałem wolę,
Lecz ta była w praniu.
Za najmniejsze uchybienie
Odbierałem burę,
Siedzę zatem cicho tutaj,
Baba wzięła górę".

Teatr. Dziś we czwartek (dnia 10 listopada) w teatrze hr. Skarbka o godzinie 7mej wieczorem: „Dzień i Noc", operetka w trzech aktach. — Jutro po raz trzeci „Nasze Anioły", komedya w 3 aktach Michała Wołowskiego.

Rozmaitości.

— **Dowcip Mozarta.** W dziełku „Memoiren eines Musikanten" Schwalbego, znajdujemy między innemi następującą ciekawą anegdotę z życia nieśmiertelnego twórcy „Don Juana".

U hrabiego Belstroma, wielkiego zwolennika muzyki, znaleźli się jednocześnie przy obiedzie Mozart i Haydn. Przy czarnej kawie rozmowa toczyła się o muzyce. Jak wiadomo, Mozart był usposobienia nadzwyczaj żywego i wesołego; był też wielkim zwolennikiem szampana. Ponieważ tego nektaru zkądinąd gościnny gospodarz tym razem poskąpił, dowcipny Mozart ułożył sobie, aby obecnych ugościł szampanem skąpy zazwyczaj Haydn. Kierował więc tak rozmowę, aby zadrasnąć miłość własną Haydna, który uważał się za najpierwszego fortepianistę w świecie.

— Idę w zakład — odezwał się więc w tym celu Mozart, zwracając się do Haydna — że skomponuję sztukę, której od razu nie zagrasz.

— Zgoda! — odrzekł zaczepiony — o co?

— O kosz szampana.

— Przystaję.

Mozart poszedł do biurka i napisał kilka nut, poczem papier podał Haydnowi. Ten, zdumiony w pierwszej chwili łatwością kompozycyi, siadł do fortepianu, zawoławszy:

— Musi mieć dzisiaj Mozart dużo pieniędzy do stracenia. Widocznie ma ochotę płacić za szampana.

— Zobaczymy to zaraz — odparł Mozart, zacierając ręce.

Haydn, zasiadłszy z pewnością siebie do fortepianu, od razu wykonał preludyum bardzo łatwo, gdy w tem nagle zatrzymał się w połowie taktu i zwracając się do Mozarta, zapytał:

— Jakżeż chcesz, abym to zagrał? Powinienem w tem miejscu obie ręce trzymać na końcach klawiatury, a tymczasem w środku jest nuta, którą wziąć koniecznie potrzeba.

— Więc robi ci to trudność? No, to patrz, jak trzeba to zagrać — odpowiedział Mozart, siadając sam do fortepianu.

Zaczął przegrywkę. Doszedłszy do trudnego miejsca, nie zatrzymując się ani na sekundę, wziął ową środkową nutę, uderzywszy nosem w klawisz. Wszyscy obecni rozśmieli się i dali brawo dowcipnemu muzykowi. Zakład więc oczywiście wygrał Mozart i Haydn musiał obecnych zaprosić do najbliższej winiarni, gdzie wypito tuzin butelek szampańskiego, wznosząc po kolei zdrowie obu znakomitych muzyków.

Należy tu dodać, że natura obdarzyła Mozarta nader długim i spiczastym nosem, Haydn, zaś miał nosek maleńki i zadarty.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 8 listopada.

(Z.) Wczorajsza repryza uleciała dziś i zaraz w pierwszych godzinach wystawiono dużo materyału na sprzedaż. Kryzis ministeryalna w Węgrzech wywołuje bowiem wielkie zniechęcenie a z Berlina nadeszło także kilka niepomyślnych doniesień. I tak dziennik *Post* ogłosił alarmujący artykuł o koncentracyi wojsk rosyjskich nad granicą niemiecką, a na giełdzie berlińskiej opowiadano, że komisya zwołana przez cara w sprawie zawarcia z Niemcami traktatu handlowego odrzuciła propozycye, stawiane przez Niemcy. Targ berliński powitał tę jeszcze nie sprawdzoną pogłoskę znaczną zniżką rubli. Prąd zniżkowy na naszym targu nie zaszedł jednak daleko, materyał wystawiony na sprzedaż znalazł do południa nabywców, poczem nastała kompletna stagnacya na targu. Kursa oczywiście obniżyły się na całej linii wszelako nieznacznie, n. p. renty o 10 ct., kredyty i landerbanki o 75 ct., Statsbahny o 50 ct.

Mennica tutejsza wypuściła dziś znów w obieg 20.000 złotych dwukoronówek. Ogółem kursuje dotąd nowych monet złotych za 1 milion koron.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 310·70, węgierskie 358·25, Anglobanki 152·50, Uniony 234·25, Bankvereiny 113·25, Länderbanki 225·20, Ludwiki 215·50, Czerniowieckie 243·50, Renta papierowa 96·90, srebrna 96·70, austryacka złota 114·70, papierowa 100·30, węgierska złota 112·50, papierowa 100·35, dukat 5·70, 20-frankówka 9·55—, marki 11·76½, ruble 1·17¾.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 29 października do 5 bm. 1892 r. bez opłaty akcyzowej: Pszenica 7·35—7·55, żyto 6·10 do 6.20, jęczmień browarny 5·75—6·10, pastewny 5·10—5.50, owies 5·55—5·85, hreczka 7·25—7·75, kukurudza zeszłoroczna 0·——0·, kukurudz. nowa 5.10—5·30, groch do gotowania 7·50—8·75, pastewny 5·75 do 6·—, fasola 0·00—0·00, bobik 4.50—5.50, wyka 4·50—5·50, koniczyna 55·— do 70·—, anyż rosyjski 31·00—32·00, anyż płaski 30.00—32·—, kminek 19·— do 20·00, rzepak zimowy 9·25—10·75, letni nowy 0·00 do 0·00, lnianka 7.75 do 8·—, nasienie lniane 10·25 do 10·50, chmiel 134—143, nafta zwykła —·— do —·—, salonowa —·— do —·—, wosk ziemny —·—do—·—. Spirytus 10.000 liter. pr. gotowy kontyngentowany, z podatkiem konsumcyjnym 47·90—48·10.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu**

Kraków 8 listopada.

W obec znacznych bardzo zapasów pszenicy amerykańskiej, nagromadzonych w portach, podniesienie się cen zboża, przynajmniej w niedalekiej przyszłości, zdaje się wykluczonem, a przez to samo żywioły spekulacyjne powstrzymują się w zapędach, tem bardziej, że i u nas zboża jest poddostatkiem, a żadnych nie ma widoków na rozwinięcie się eksportu. Tym sposobem chęć do kupna jest w ogóle bardzo słaba; zapasy, jakie są, pozostają po największej części w pierwszych rękach, t. j. u producentów, którzy spekulują z konieczności, jednakowoż nie łatwo godzą się na ustępstwa. Stosunek między podażą a zapotrzebowaniem zachowuje pewną równowagę, a w tych warunkach w handlu zbożowym panuje pewien zastój, lecz ceny po redukcyi, jaka w ostatnich dwóch tygodniach nastąpiła, obecnie utrzymują się mniej więcej na tym samym poziomie.

Dzisiejszy targ na Kleparzu odbył się w usposobieniu spokojnem. Za pszenicę i żyto w celnych gatunkach płacono nawet cokolwiek drożej, natomiast gorsze gatunki były zaniedbane. W jęczmieniu prawie żadnych nie było obrotów z powodu braku odpowiedniego towaru. Rzepaki i koniczyna poszukiwane.

Płacono: za pszenicę białą od 8·20—8·45, za czerwoną od 8·00—8·35, za żółtą od 8·00 do 8·15; za żyto od 6·80—7·10; za jęczmień browarny od 6·40—7·—, na kaszę od 5·75 do 5·85; za owies od 5·70—5·90, za rzepak od 11·30 do 11·90, za koniczynę czerwoną od 60 do 70, za białą od 75 do 85 zł. — wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Telegramy „Przeglądu"

Wiedeń 10 listopada. Komisya budżetowa wybrała p. Szczepanowskiego jeneralnym sprawozdawcą budżetu.

Budapeszt 10 listopada. Dziennik *Budapesti Hirlap* donosi, że minister finansów Weckerle i Koloman Szell oświadczyli swoim przyjaciołom, że nie mogliby podjąć się utworzenia nowego gabinetu, gdyby im Cesarz misyę tę poruczył. Weckerle tłomaczy to tem, że zajęcia jego jako ministra finansów wymagają poświęcenia wszystkich sił.

Wiedeń 10 listopada. Pewien majtek na okręcie przybyłym tu z Węgier, umarł nagle. Obdukcya zwłok wzkazała, że majtek ów umarł prawdopodobnie na cholerę azyatycką. Wydzieliny zmarłego poddano badaniu bakteryologicznemu.

Król rumuński z następcą tronu przybędą tu we wtorek na kilkudniowy pobyt i zamieszkają w Burgu jako goście Cesarza.

Londyn 10 listopada. Księcia Marlborough znaleziono wczoraj rano nieżywego w łóżku w pałacu Blenkeim koło Woodstocku.

Berlin 10 listopada. Ambasador austryacki p. Szoegyenyi złożył wczoraj wizyty powitalne kanclerzowi Capriviemu i Marschallowi.

Porto-Novo 10 listopada. Pułkownik Dodds zdobył twierdzę dahomejską Kana po zaciętej walce. Straty wojska francuskiego wynoszą 11 zabitych i 42 rannych.

Paryż 10 listopada. Pułkownik Dodds w nagrodę za zdobycie Kany zamianowany został jenerałem.

Tutejsza rada miejska wyraziła swe oburzenie z powodu ostatniego zamachu dynamitowego i uchwaliła pochować ofiary tego zamachu kosztem miasta.

Wiedeń 10 listopada. Komisya dla prawa karnego po długiej debacie uchwaliła na razie obradować dalej nad nowym kodeksem karnym pomimo, że równocześnie toczą się obrady Rady państwa.

Za nieprzerywaniem obrad komisyi oświadczył się także minister sprawiedliwości, kładąc nacisk na to, że projekt nowego kodeksu karnego nie mógłby być załatwiony przez Izbę w ciągu obecnej sesyi, gdyby komisya prace swoje przeciągnęła aż do wiosny 1893. Nadto wskazał minister także i na to, że reforma kodeksu karnego stoi także w związku z kwestyą reformy procesu cywilnego.

Bukareszt 10 listopada. Parowiec „Olga" gagaryńskiego Towarzystwa żeglugi usiłował niedawno przemocą wpłynąć do portu Suliny, nie zważając na kwarantanę. Dzienniki rosyjskie wzięły komendanta okrętu w obronę i tłumaczyły go tem, że na Czarnem morzu była wówczas burza, a kapitan chroniąc się przed nią, chciał zawinąć do ujścia Dunaju. Otóż w obec tego konstatuje międzynarodowa komisya żeglugi na Dunaju na podstawie biuletynu meteorologicznego, że w owym dniu, w którym parowiec „Olga" chciał przemocą wedrzeć się do portu Suliny, była na morzu Czarnem prawie zupełna cisza.

Budapeszt 10 listopada. Na wczorajszej wieczornej konferencyi stronnictwa liberalnego złożył prezes ministrów hr. Szapary takie samo oświadczenie, jakie złożył na przedpołudniowem posiedzeniu sejmu. Stronnictwo jednomyślnie pochwaliło stanowisko, jakie zajął rząd. Hr. Szapary podniósł konieczność utrzymania solidarności stronnictwa. Konieczność tę uznawali także inni mówcy, między nimi i Koloman Tisza.

Na jutro zawezwani są do Cesarza hr. Szapary, Weckerle, Koloman Tisza, prezydent sejmu Banffy i Szell.

W ciągu ubiegłej doby zachorowało tu na cholerę 8 osób, a umarły 2. W Szegedynie zachorował jeden człowiek, a nikt nie umarł.

Konstantynopol 10 listopada. Kwarantanę na okręty i towary austryackie, przychodzące z portów morza Adryatyckiego zniżono na pięć dni.

Wiedeń 10 listopada. Wielką sensacyę sprawiła tu wiadomość, że jeden z najstarszych wiedeńskich adwokatów dr. W. Raindl sam zgłosił się do sądu karnego i oskarżył siebie o sprzeniewierzenie. Raindla uwięziono.

Wiedeń 10 listopada. Znakomity bakteryolog dr. Drasche wygłosił wczoraj odczyt, w którym dowodzi, że dyagnoza cholery na podstawie sztucznych hodowli bakcyla przecinkowego, nie doprowadza do prawdziwych wyników. Według prelegenta, wszystkie trzy wypadki we Wiedniu choroby, którą miano za cholerę azyatycką, wcale nią nie były.

Wiedeń 10 listopada. Bank austro-węgierski otwiera w Dukli swą filię, zależną od filii rzeszowskiej.

Przyjechali do Lwowa

dnia 10 listopada 1882.

HOTEL IMPERIAL. Hr. E. Borkowski z Ponikwy. Hr. R. Łubieński z Ponikwy. Hr. Stan. Platter z Moszkowa. M. Wołowski z Warszawy. K. Rościszewska z Radomia. S. Raciborski z Sambora. B. Malkowski z Załośca.

HOTEL FRANCUSKI. Dr. J. Gwiazdomorski z Krakowa. G. Weltmann z Berlina. H. Wachter z Landsbergu. S. Jacobsohn z Bielska. L. Zentner z Pilzna. S. Frankl i A. Bryner z Wiednia. J. Hischer z Jarosławia. A. Popper z Wiednia. K. Steinschneider z Wiednia. M. Buxbaum z Wiednia. Bloch z Wiednia.

Nadesłane.

Na pogorzelców dotkniętych pożarem dnia 1 września b. r. w Nawaryi, koło Lwowa, wpłynęły na ręce miejscowego komitetu ratunkowego, następujące datki: od Ekscelencyi księdza arcybiskupa Morawskiego 30 złr., od wielebnego ks. Paczowskiego z Barszczowic (ze składek w cerkwi) 14 złr., od Wgo Krasnopolskiego 10 złr., od gminy Nikonkowice 5 złr., od Wgo Kuczabskiego z Pustomyt 2 zł., od Wgo Skorobohatego 1 złr., od p. Serafińskiego 10 cnt., od X. X. z Byszowa 5 złr., od Wgo Fedusiewicza ze Stryja 1 złr., od Wiel. księdza Słowikowskiego 2 złr., od p. Sieczkowskiego z Nagorzan 30 cnt., od urzędu parafialnego z Wareża 1 zł. 20 cnt., od X. 20 marek pruskich (zamieniano na 11 złr. 67 cnt.), — razem 82 złr. 27 cnt., z czego rozdzielono 76 złr.

Nadto dwór Nagórzany udzielił 7 korcy kartofli i lipy na materyał, a Wny Thom ze Lwowa 50 bochenków chleba.

Składając staropolskie „Bóg zapłać" imieniem nieszczęśliwych za te datki i współczucie, spodziewa się komitet, że dola pogorzelców i nadal nie pozostanie obojętną mieszkańcom kraju naszego, a dalsze datki wobec rozmiarów nieszczęścia i zbliżającej się zimy, są nader pożądane.

Przy tej sposobności z przykrością zaznaczyć musi komitet, że od współbraci naszych mojżeszowego wyznania, z wyjątkiem minimalnych kwot, składanych na ręce kolektanka w Gródku, żadne datki nie wpłynęły, a poszkodowaną i potrzebującą pomocy, jest właśnie większa część mieszkańców wyznania izraelickiego i ich komitet przy rozdziale powyższych składek, jak również subwencyi Wysok. Sejmu krajowego 200· złr., przeważnie uwzględniał i uwzględnia. Nawarya 8 listopada 1892. Przewodniczący *ks. Jan Motyl.*

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 10 listopada godz. 1. min. 45.

Akcye kred.	311·35	Węg. kolej półn. wschodn.	197·—
Alpiny	54·80	Wiedeńskie losy kom.	163·—
Kredyty węg.	357·50	Akcye tyton.	172·50
Anglobanki	152·50	Gal. obl. indem.	105·—
Uniony	235·25	Elbethale	229·—
Ludwiki	215·75	Landerbanki	225·80
Nordbany	279.—	Renta zł. węg.	112·55
Lombardy	95·75	Bankvereiny	113·75
Losy tureckie	46·10	Renta węg. p.	100.40
Staatsbahny	293·25	Ruble	1·18·—
Czerniowieckie	243·75		

Usposobienie silne.

Lwów. Z Izby handlowej 10 listopada 1892

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	214 —	217 —
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	242 —	245 —
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	336 —	340 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	215 —
Listy zastawne za 100 zł.		
Banku hip. galic. 5% 40 „	100 85	101 55
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	107 60	108 30
Banku hip. 4½% w. a. lok. w 50 lat.	98 15	98 85
Banku krajowego 4½% w. a.	98 75	99 45
Tow. kred. galic. 4% nieokr.	95 80	96 50
„ „ „ 4% „ 41 „	94 50	95 20
„ „ „ 4% „ 52 l.	99 90	100 60
„ „ „ 4 „ 58	94 —	94 70
3. Listy dłużne za 100 zł.		
Z. G. kr. wł. (daw. 6%) 3% w likw.	— —	— —
„ „ „ (daw. 6%) [illegible] „	52 50	55 50
4. Obligi za 100 zł.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104 90	105 60
Galic. fund. propinacyjnego 4%	94 60	95 30
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	101 30	102 —
Kom. Banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	101 —	101 70
Pożyczka kraj. z r. 1873 z pr. w. a.	103 50	— —
„ 1883 4½%	91 50	92 20
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	22 75	24 75
„ „ Stanisławowa	29 50	32 50
6. Monety.		
Dukat holenderski	5.66	5.76
Napoleondor	9.49	9.59
Półimperyał rosyjski	9.60	—.—
Rubel rosyjski srebrny	1.18—	1.26—
„ „ papierowy	1.17—	1.19—
100 marek niemieckich	58.60	59.10

Ruch pociągów kolejowych

ważny od dnia 1 maja 1892 r. według zegara lwowskiego

Przychodzą do Lwowa	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]
Z Krakowa	[illegible]	[illegible]	6^{10}	[illegible]	[illegible]	
Z Muszyny-Krynicy via Tarnów			9^{01}			
Z Podwołoczysk i Brodów (na dworzec główny)	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworzec Podzamcze		2^{45}	9^{17}	6^{53}		
Z Suczawy	10		7^{56}	1^{45}	7^{06}	
Z Kimpolungu	10		7^{56}			
Z Radowiec	10		7^{56}		7^{06}	
Z Hliboki	[illegible]				[illegible]	
Z Nowosielicy			7^{56}		7	
Z Słobody rungurskiej	10			1^{42}	7	
Z Husiatyna via Halicz	10			1^{42}		
Z N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja			9^{16}	2^{35}		
Z Suchy, N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja			6^{16}			
Z Chyrowa, Stanisławowa i Stryja					1^{41}	
Z Peszt, Miskolcza, Munkacza, Ławocznego i Stryja			6^{16}		1^{41}	
Z Sokala i Bełzca						4^{48}
Z Sokala i Rawy ruskiej						8
Odchodzą ze Lwowa:						
Do Krakowa	[illegible]	3^{07}	[illegible]	11	7^{56}	
Do Muszyny-Krynicy via Tarnów					7^{56}	
Do Podwołoczysk i Brodów (z dworca głównego)	[illegible]		9^{41}	[illegible]		
Do Podwołoczysk i Brodów (z Podzamcza)	3^{10}		10^{12}	10^{53}		
Do Suczawy	6		9^{55}	8	10	
Do Husiatyna via Halicz	8			8		
Do Słobody rungurskiej	[illegible]		9	8^{35}	10	
Do Nowosielicy	6		9^{56}		10	
Do Hliboki	6		9^{56}			
Do Radowiec	6		9^{56}		10^{56}	
Do Kimpolungu	[illegible]			[illegible]		
Do Stryja, Chyrowa, N. Sącza i Suchy			6^{16}	10	7	
Do Stryja i Stanisławowa				10	7	
Do Stryja, Ławocznego, Munkacza, Miskolcza i Peszt			6^{15}		7	
Do Bełzca i Sokala						9
Do Sokala i Rawy ruskiej						[illegible]

Uwaga: Godziny podkreślone liniją oznaczają porę nocną od godz. 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

87

MATKA I MĘCZENNICA

POWIEŚĆ

przez

Pawła d'Aigremont.

Tłumaczona przez Leopolda Czapińskiego.

(Ciąg dalszy).

Oświadczyła, że nie wstawała owej nocy, gdyż utrudzona bezustannem czuwaniem, spała swem głębokim i dopiero rano przebudził ją krzyk Janiny. Rzeczywiście p. de Cypières myślał z początku, że to ona podawała mu lekarstwo, po którem doznał boleści, powiedział jej to i przez kilka dni objawiał jej swą niechęć, ale później poznał swój błąd i wiele razy powtarzał: obwiniłem cię, przebacz mi, przebacz!

— Czy słowa te słyszał kto więcej? — zapytał jeden z sędziów przysięgłych.

— Nie przypominam już sobie, lecz wątpię, by mógł kto słyszeć, dla tego, że pan de Cypières nie lubił zwierzać się w obecności osób obcych.

Zeznaniom Klemensa i Reginy zaprzeczyła stanowczo słowami:

— Zapewniam, że to nieprawda.

I nie podała ani słowa więcej, ale wzrok jej był tak uczciwy, ton mowy tak naturalny, że wszyscy obecni zostali przekonani.

Na żądanie prezydującego, by opowiedziała co wiadomo jej o ostatniej scenie, o której Klemens i Regina utrzymują, że została przez hrabiego pochwycona na uczynku samej zbrodni, odpowiedziała:

— Spałam snem mocnym w moim pokoju, gdy nagle usłyszałam krzyk. Zerwałam się z łóżka na pół senna i nie mając nawet czasu nałożyć na siebie peignoiru, pobiegłam do pokoju mego męża. Gdy uchyliłam portjerę oddzielającą mój pokój od pokoju jego, Klemens Gaube wchodził od strony przeciwnej. Był sam i wydawał się niezmiernie zmięszanym.

Na moje zapytanie: skąd przychodzi? zmięszał się jeszcze więcej. Wzruszenie jego było tak wielkiem, że nie był nawet zdolny pomódz mi w ratowaniu hrabiego. Myślałam, że mąż mój nie żyje i sama musiałam nacierać go, unosić na poduszkach, gdyż Klemens stał jak nieprzytomny. Nakoniec poszedł po Janinę, moją siostrę mleczną, która mi pomogła ratować; wówczas posłałam po moich kuzynów, księdza Sintély i doktora.

Jeszcze raz naturalny ton mowy wywarł skutek przychylny. Przekonanie o jej niewinności pogłębiało się w duszy każdego.

Nie, ta kobieta nie kłamała.

A trucizna, ta straszna trucizna senegalska, przywieziona przez p. Brama, zamknięta przez niego w szafie w Mauvezin, jakim sposobem znikła od owego czasu?

W kwestyi tej jak i w wielu innych, Magdalena odpowiedziała, że nie wie. Nie miała nigdy klucza od tej szafki, gdyż p. Bram przed swą śmiercią wręczył go hrabiemu de Cypières, który ciekawsze przedmioty z szafki kazał przenieść do Roche-Morte, gdzie i dotychczas się znajdują, jak naprzykład dwie statuetki z kości słoniowej, bardzo pięknej roboty i różne osobliwości inkrustowane złotem i srebrem. Ale czy zabrał także i bób kalabarski, nie umie powiedzieć. Twierdzi tylko stanowczo, że ani za życia p. Bram, ani po jego śmierci, nigdy nie miała w swych rękach klucza od tej szafki.

Nakoniec prezydujący wniósł kwestyę ostatnią:

— Pani kochałaś doktora Sintély i chciałaś niegdyś poślubić go?

Bez najmniejszego zmięszania, choć czuła utkwiony w sobie gorący wzrok Ryszarda de Clavières, odpowiedziała, że Rajmund rzeczywiście prosił o jej rękę i matka jej pragnęła tego związku, jako dla niej bardzo pochlebnego i zaszczytnego.

— A więc, dla czegoż pani odmówiłaś?

Jako kobieta światowa uważała pytanie to za niedyskretne, ale wiedząc, że słucha jej Ryszard, więcej dla niego przeto, niż przez wzgląd na sędziów przysięgłych i własne ocalenie, odrzekła:

— Będąc wychowaną z nim razem, jako siostra, nie mogłabym nigdy uważać go inaczej, tylko jak brata.

— Może później zmieniła pani uczucia. To się zdarza. Zresztą przykry charakter pana de Cypières, mógł wywołać w pani żal i zrodzić skłonność dla jej kuzyna.

Młoda kobieta, zwróciwszy się nieco w stronę Ryszarda, zawołała żywo:

— Ja nigdy nie zmieniam mych uczuć. Przytem p. de Cypières wcale nie był, jak pan utrzymuje, niesprawiedliwym i przykrym. A gdyby i był nim niekiedy, w chwili cierpień dolegliwych, łatwo mogłam to znieść, pamiętałam bowiem zawsze, że ocalił mego ojca i że dzięki jego szlachetności p. Bram umarł szczęśliwy i... szanowany przez wszystkich.

Uczyniła nacisk na ostatnie słowa, jak gdyby dla pokazania, jak wielką wagę przywiązuje do tego.

— Więc pani twierdzi, żeś nie kochała Rajmunda Sintély? — nalegał prezydujący.

— Twierdzę stanowczo. Kochałam go i kocham jak brata. I gdy niedawno zawiadomił nas o swym projekcie ożenienia się, byłam z tego bardzo szczęśliwą.

— Więc miał się żenić?

— I mam nadzieję, że się ożeni, czego mu z serca życzę, gdyż narzeczona jego jest osobą bardzo inteligentną, uczciwą i dobrą.

Słowa te wywarły wrażenie silne. Nikt już nie powątpiewał o niewinności pani de Cypières. Jeden wielki szmer głosów sympatyi przebiegł po całe sali.

Podczas zawieszenia badań, Ryszard podszedł do p. Aubry i uścisnął jego rękę. Nie śmiał zbliżyć się do Magdaleny, a tembardziej przemówić do niej, gdyż zdradziłby się niechybnie i padłby do jej nóg, nie zważając na obecność pięciuset osób.

— Zdaje mi się, że sprawa stoi dobrze! — szepnął do ucha adwokata.

— Czekajmy jeszcze — odrzekł p. Aubry, zagadkowo potrząsając głową. — Daleko jeszcze do końca i pozostają nadto świadkowie. Tutaj zaś ludzie są bardzo wrażliwi i zmienni.

— Przestraszasz mię pan!...

— Bo jest czego się lękać. W każdym razie, nie trać pan odwagi, gdyż wiele nam jej potrzeba. Ksiądz, choćby go wzięto na tortury, nie powie ani słowa. Brat zaś jego gwałtownością swoją nie przyczyni się do poprawienia sprawy. Pan więc tylko jeden możesz złagodzić cios, jaki w nią uderzy na wiadomość o śmierci córki.

Sędziowie weszli i wznowiono badanie świadków.

Jak zwykle, rozpoczęto od oskarżających.

Pierwsza weszła wicehrabina de Mondragon. Zdawało się, jak gdyby mimowoli spojrzała na Magdalenę i objęła ją wzrokiem wyrzutów i nienawiści.

Ale był to jedyny objaw jej uczuć osobistych. Opowiedziała, co przedtem już zeznała przed sędzią śledczym o zwierzeniu brata i przysiędze pomszczenia go. Ale wyraziła to wszystko z takiem umiarkowaniem i zręcznością, jak gdyby mówiła prawdę najszczerszą. Jej żal i płacz nad utraconym bratem, który ją wychował, kochał i był jej dobroczyńcą i dla którego zachowała wdzięczność do śmierci, wzruszyły i usposobiły dla niej przychylnie zebraną publiczność.

Odeszła wśród szmeru rozczulenia.

P. Aubry miał słuszność twierdząc, że opinia publiczna, w całości przychylna dla pani de Cypières, może się jeszcze zwrócić przeciwko niej.

Wprowadzono Klemensa Gaube.

Był blady niezmiernie, ale inteligentna i smutna twarz jego, przyzwoita postawa i skromne gesta zjednały mu od pierwszej chwili sympatyę wielu obecnych.

Poważnie i z umiarkowaniem opowiedział pierwsze usiłowania otrucia.

— Czy hr. de Cypières poznał swą żonę? — zapytał prezydujący.

— Poznał napewno.

(Ciąg dalszy nastąpi).

K. 5235.

KONKURS.

Magistrat miasta Sokala rozpisuje niniejszem konkurs na posadę budowniczego miejskiego z płacą roczną 500 złr. i dodatkiem 100 złr. za dozór przy większych budowach.

Od kandydata wymaga się kwalifikacyi ustawą gminną przepisanej.

Termin do podań oznacza się do końca stycznia 1893.

Sokal dnia 5 listopada 1892. 4402 2 2

Z kolei państwowych. Zapadłe d. 1 listopada 1892 kupony obligacyi pierwszeństwa kolei arcyks. Albrechta z pierwszej i drugiej emisyi, a także emisyi z r. 1890, wypłacone są od tego dnia a to:

Kupony 5% srebrnych obligacyi pierwszeństwa (I em) po 7 zł. 50 ct. Kupony 5% złotych obligacyi pierwszeństwa (II em) po 5 złr.=12½ frak.=10 marek Kupony 4% srebrnych obligacyi pierwszeństwa (em. z r. 1890) po 20 złr. względnie 4 złr.

Kupony te wypłacane będą we Wiedniu: w głównej kasie jeneralnej dyrekcyi kolei państwowych. Fünfhaus Schönbrunnerstrasse Nr. 6. W Berlinie: kupony I i II emisyi w „Banku Niemieckim" a kupony emisyi z r. 1890 w „Narodowym Banku dla Niemiec". W Frankfurcie n. M.: kupony I i II emisyi w „Niemieckim Banku związkowym" i w domu bankowym „Erlangera i Synów" w tym ostatnim także kupony emisyi z r. 1890. W Monachium kupony I i II emisyi w „Bawarskim Banku związkowym".

Za granicą należytość za kupony srebrnych obligacyi pierwszeństwa wypłaconą będzie wedle wiedeńskiego kursu przeciętnego w markach niemieckich, a kuponów obligacyi złotych po 10 marek za sztukę. Od 15 listopada b. r. wypłata kuponów odbywać się będzie tylko w głównej kasie jeneralnej dyrekcyi kolei państwowych we Wiedniu.

Wypłata obligacyi pierwszeństwa wszystkich trzech emisyi wylosowanych d. 1 maja 1892 r. odbywa się począwszy od 1 listopada b. r. we Wiedniu, również w głównej kasie jeneralnej dyrekcyi kolei państwowych, i aż do 14 listopada b. r. włącznie także w wymienionych powyżej miejscach: w Berlinie, Frankfurcie n M i w Monachium, upoważnionych do wypłaty kuponów.

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.